

Refleksje o konkursie „Macierzy Szkolnej” | Zgiełk jarmarków wileńskich | Litwinowiczowie a „Wilia”
Białorusini przetrwali w folklorze | Święty Bartolo od nowenny | Pytania dzieci nt. śmierci. Co mówimy?

KURIER WILEŃSKI

MAGAZYN

1-7 listopada 2025 r.
Nr 44 (125)

Wydanie magazynowe
polskiego dziennika na Litwie
Cena: 1 euro

Wspominamy zmarłych z perspektywy ich żywota

Wileńskie cmentarze to prawdziwy pomnik historii. Niektóre groby noszą ślady burz, jakie nawiedziły Wileńszczyznę, dołączając do wielkiej opowieści, którą snują. Zmarłych często wspominamy przez pryzmat ich dokonań za życia. Uroczystość Wszystkich Świętych jest ku temu najlepszą sposobnością.

Lecz nie tylko dzisiejsze nekropolie kryją szczątki i pamięć przodków. Prestiżowym miejscem pochówku były podziemia wileńskich kościołów, z archikatedrą na czele. Byli chowani tu biskupi, choć jak dowiaduje się „Kurier Wileński”, od tej reguły były odstępstwa, i to całkiem niedawne — w 2012 roku.



ISSN 1392-0405
9 771392 040035

Fot. Apolinary Klonowski
Projekt okładki Apolinary Klonowski

KALENDARIUM

1 listopada

1924 – ukazuje się 1. numer czasopisma „Siejba”. Był to organ Koła Literacko-Artystycznego w Gimnazjum im. J. Lelewela w Wilnie. Tak wyjaśnia swoją misję: „młodzież wileńska ma przed sobą wielkie zadania”. Dodaje, że nawołuje „do wytrwałości, uzgodnienia przekonań, które nam, przyszłym obywatelom kraju, będą tak potrzebne”.

2 listopada

1932 – szefem MSZ RP zostaje Józef Beck. Wiele mu się zarzuca, jednak miał swoje zalety. Świat się zaczynał walić, Liga Narodów okazała się nieudolna. Pomógł wypracować pakt o niestosowaniu przemocy z Hitlerem, choć żyjący jeszcze Piłsudski podkreślał, że pakt nie przetrwa 5 lat, bo Hitler rysował plany wobec Polski.

3 listopada

1956 – instruktorzy Związku Harcerstwa Polskiego lat 1945–1948 kierują do pierwszego sekretarza PRL Władysława Gomułki rezolucję. Doszło do pewnej rehabilitacji Szarych Szeregów, nadania pewnego rodzaju autonomii i innych ustępstw. „Koroniarscy” harcerze dekady później pomogą przywrócić polskie harcerstwo na Litwie.

4 listopada

1794 – mija ostatni dzień, gdy rząd insurekcji kościuszkowskiej sprawuje władzę w całym kraju (w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim). Wcześniej dochodzi w Wilnie do ogłoszenia Aktu Powstania Narodu Litewskiego; WKL dołączyło do powstania przeciwko Rosji. Powieszono zdrajców, którzy kolaborowali z carycą.

5 listopada

1370 – umiera Kazimierz III Wielki. Był ostatnim królem Polski z dynastii Piastów, po jego śmierci „do gry” weszli litewscy Jagiellonowie. Król Kazimierz miał żonę Litwinę Aldonę (zmarła młodo), kolejne żony, kochanki. Miał dzieci, jednak nie jako prawowitych dziedziców z kościelnego małżeństwa. Dużo dla Polski zrobił.

6 listopada

1846 – traktat austriacko-pruski przyznaje Kraków Galicji, cesarz austriacki zaczyna się mianować „wielkim księciem Krakowa”. Był to finał tzw. Rzeczypospolitej Krakowskiej. Powstanie nie wypaliło, w drugą rocznicę powstania odniósł się doń Marks; mówił, że wolna Polska jest „celem każdego demokraty w Europie”.

7 listopada

1867 – cztery lata po powstaniu styczniowym rodzi się Maria Skłodowska. Poznawała Warszawę zniewoloną przez Rosję, gdzie szyldy były pisane cyrylicą, co wspominała z rozdrażnieniem. Gdy drzwi nauki były dla niej jako kobiety zamknięte, wyjechała do Francji. Odkryła polon, tak nazwała pierwiastek, oddając cześć Polsce.



Robert Mickiewicz

Białoruskie dylematy

W ostatnim czasie „Kurier Wileński”, zresztą jak większość mediów na Litwie, dużo pisze o Białorusi. Nic dziwnego. Mamy kolejny kryzys w relacjach z naszym sąsiadem za wschodnią granicą. Tym razem powodem stały się balony meteorologiczne, za pomocą których przemytnicy przerzucają z Białorusi na Litwę papierosy. Balony z zawieszonymi pod nimi pakunkami stwarzają niebezpieczeństwo dla ruchu lotniczego na wileńskim lotnisku, nie mówiąc już o tym, że sam przemyt towarów akcyzowych jest procederem nielegalnym i karalnym. Rząd Litwy zamknął granicę.

Jednak początków obecnej eskalacji trzeba szukać przed pięciu laty. Po stłumieniu przez reżim Alaksandra Łukaszenkę protestów przeciwko sfałszowaniu wyborów prezydenckich w tym kraju w 2020 r. schronienie na Litwie znalazło ponad 60 tys. mieszkańców tego kraju. Przed tym na Litwie mieszkało ok. 30 tys. Białorusinów, zarówno miejscowych, jak i przybyłych w czasach sowieckich.

W tym wydaniu magazynowym „Kuriera Wileńskiego” Antoni Radczenko pisze o tym, jak żyją dzisiaj na Litwie Białorusini. Jego rozmówcą jest Alaksandr Adamkowicz, prezes Towarzystwa Kultury Białoruskiej na Litwie. Współżycie tych dwóch wspólnot – miejscowych Białorusinów i emigrantów, którzy uciekli przed reżimem Łukaszenki z Białorusi – nie jest łatwe. Sytuację białoruskiej mniejszości w naszym kraju utrudnia również to, że – w odróżnieniu od nas, Polaków – Białorusini na Litwie nie mogą liczyć na wsparcie ze swojego kraju. Jak mówi nam Adamkowicz: „Metropolia nie tylko nie wspiera Białorusinów poza krajem, ale dokonuje różnych działań przeciwko działaczy białoruskiej mniejszości na Litwie”.

A jednak Białorusini się nie poddają. Tradycyjnym białoruskim sposobem na trudne czasy od stuleci jest... folklor. Białoruski działacz społeczny zaprasza więc wszystkich miłośników białoruskiej kultury ludowej, niezależnie od narodowości, na festiwal „Starożytna Białoruś”, który zagości 8 listopada w Centrum Kultury w Nowej Wilejce.

Robert Mickiewicz

KURIER WILEŃSKI

MAGAZYN

Ukazuje się od 1953 r. Birbynių g. 4a, LT-02121 Wilno, Republika Litewska, tel. +370 526 084 44; **Redaktor**

naczelny: Robert Mickiewicz. **Zastępcy redaktora naczelnego:** Brygita Łapszewicz, Apolinary Klonowski.

Sekretarz redakcji: Piotr Łukasik. **Dziennikarze:** Honorata Adamowicz, Justyna Giedrojć, Brenda Mazur, Antoni Radczenko, Rajmund Klonowski. **Stali współpracownicy:** Piotr Hlebowicz, Elżbieta Monkiewicz, Tomasz Otocky, Anna Pawłowicz-Janczys, Tomasz Snarski, Jarosław Tomczyk. **Fotoreporterzy:** Marian Paluszkiewicz. **Skład i łamanie:** Halina Taukin. **Dział Online:** Janina Jarosz, Jolanta Balkiewicz, Apolinary Klonowski. **Dział promocji:** Andrzej Podworski – prenumerata (kolport@kurierwilenski.lt) i reklama (tel. 260 84 44, reklama@kurierwilenski.lt). **Wydawca:** VšĮ „Kurier Wileński”, Birbynių g. 4A, LT-02121 Wilno. **Druk:** VšĮ „Vilnijos žodis”. Nakład: 2500 egz.



Ministerstwo
Spraw Zagranicznych

Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. „Polonia i Polacy za Granicą 2023”, ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Opinie Czytelników zawarte w ich listach nie zawsze są zbliżone z opinią redakcji.



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego



OZIENNIK NALEŻY DO
EUROPEJSKIEGO
STOWARZYSZENIA GAZET
CODZIENNYCH
MNIJSZOŚCI
NARODOWYCH

Trzy pytania o Środę Literacką »4

Rajmund Klonowski: Balonowy zawrót głowy »6

Antoni Radczenko: Dobra okazja do przedstawienia naszych racji »6

Pochówek w kościele – wyraz statusu i prestiżu »7-9



Od wieków w kościołach chowano przede wszystkim duchownych, fundatorów kościołów, arystokrację, osoby szczególnie zasłużone. Nie inaczej jest w wileńskich świątyniach.

Najlepsze szkoły, najlepsi nauczyciele »10-12



Konkurs, który budzi spore emocje wśród dyrektorów i nauczycieli szkół polskich na Litwie, po raz pierwszy odbył się przed 30 laty – w końcu kwietnia 1995 r.

Zawsze znajdzie się czas na teatr »13-15

Naszymi rozmówcami są Marek Pszczołowski i Małgorzata Wasilewska – przedstawiciele środowiska oświaty, którzy od lat współpracują z PTS.

Kultura białoruska przetrwała w folklorze »16-17



8 listopada w Centrum Kultury w Nowej Wilejce odbędzie się festiwal „Starożytna Białoruś”. Zaprasza Alaksandr Adamkiewicz, prezes Towarzystwa Kultury Białoruskiej na Litwie.

Pocopotek: Dziady – zaduszki na Litwie »18-19

Jak rozmawiać z dziećmi o śmierci? »20-21



Zaduszki to moment, w którym wielu z nas zatrzymuje się na cmentarzu, zapala znicze, wspomina bliskich. Dla dorosłych to czas refleksji, ale dla dzieci często czas pierwszych trudnych pytań...

Jesień na słodko »22-23



Ciepło piekarnika, cynamon i imbir, najsmaczniejszy zapach świeżych wypieków – wszystko to przypomina nam, że jedzenie może być nie tylko smakiem...

Zamiana ról na Kaukazie »24-25

Gruzja z Armenią zamieniły się rolami. Wieloletni przymus dążący na Zachód zmienia się w kaukaską Białoruś, zaś odwieczny sojusznik Moskwy składa wniosek o przyjęcie do UE.

Z „Wilią” w sercu, z „Wilią” w życiu »26-29



Rodzina Litwinowiczów – nazwisko, które od dziesięcioleci nierozzerwalnie wiąże się z zespołem „Wilia”. W rozmowie z Tadeuszem, Czesławem i Walentyną wracamy do lat 60. i 70.

Zgiełk i światło jarmarków wileńskich »30-31



Wileńskie jarmarki były czymś więcej niż cyklicznym miejscem handlu. Na Targu Rakowym w Gdańsku można oglądać wystawę fotograficzną o jarmarkach Wileńszczyzny.

Przez upadek do nawrócenia »32-34

Bł. Bartolo Longo 19 października wraz z sześcioma innymi błogosławionymi został przez papieża Leona XIV kanonizowany i włączony w poczet świętych Kościoła katolickiego.

Trzy pytania do...



...Alicji Dzisiejcz,

kustosz Muzeum Adama Mickiewicza
przy Uniwersytecie Wileńskim

1. Jakiej tematyce będzie poświęcona najbliższa Środa Literacka?

Zapraszamy na kolejne spotkanie, na którym będzie mowa o „Archiwum Filomatów”. Na początku października 1817 r. kilku studentów Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego założyło Towarzystwo Filomatów („miłośników nauki”). Niewielka grupa młodych ludzi przez kilka lat spotykała się, by wspólnie spędzać czas, uczyć się, rozmyślać i rozwijać. Rozszerzali działalność, zakładając kolejne stowarzyszenia studenckie, studiując i tworząc. Swoim zdecydowaniem, uporem i pracowitością ci młodzi wileńscy studenci zaskakują i inspirują kolejne pokolenia badaczy i twórców. Pisemne dziedzictwo filomatów, którego trzon stanowi archiwum zachowane przez rodzinę Pietraszkiewiczów, przechowywane jest obecnie w kilku bibliotekach akademickich i archiwach w Polsce oraz na Litwie. W ramach spotkania poznamy, jak wyglądała współczesne próby podjęte ku temu, by do pełnego zbioru tych wielce cennych rękopisów miała dostęp jak najszerza publiczność.

2. Kto będzie autorem wykładu?

Prelegentem będzie osoba, która na co dzień bada i dotyka (no bo jak inaczej badać) najważniejszych rękopisów, które są przechowywane w Dziale Rękopisów Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego – dr Veronika Girininkaitė. Pracowniczka Biblioteki UW przedstawi, co składa się na archiwum filomatów, jak było ono badane, gdzie przechowywane są zachowane dokumenty oraz w jaki sposób można je odszukać w internecie dzięki Cyfrowym Kolekcjom Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego oraz wspólnemu z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim projektowi „Archiwum filomatów – edycja cyfrowa”.

3. Kiedy odbędzie się spotkanie?

Środa Literacka odbędzie się w pomieszczeniach dawnej kawiarni Małej Auli Uniwersytetu Wileńskiego, Uniwersytetu g. 3 (wejście od strony Dziedzińca Wielkiego – obok dzwonnicy kościoła św. św. Janów), 5 listopada o godz. 17. Spotkanie będzie prowadzone w języku litewskim. ■

Rozmawiała Justyna Giedroń

Koncert



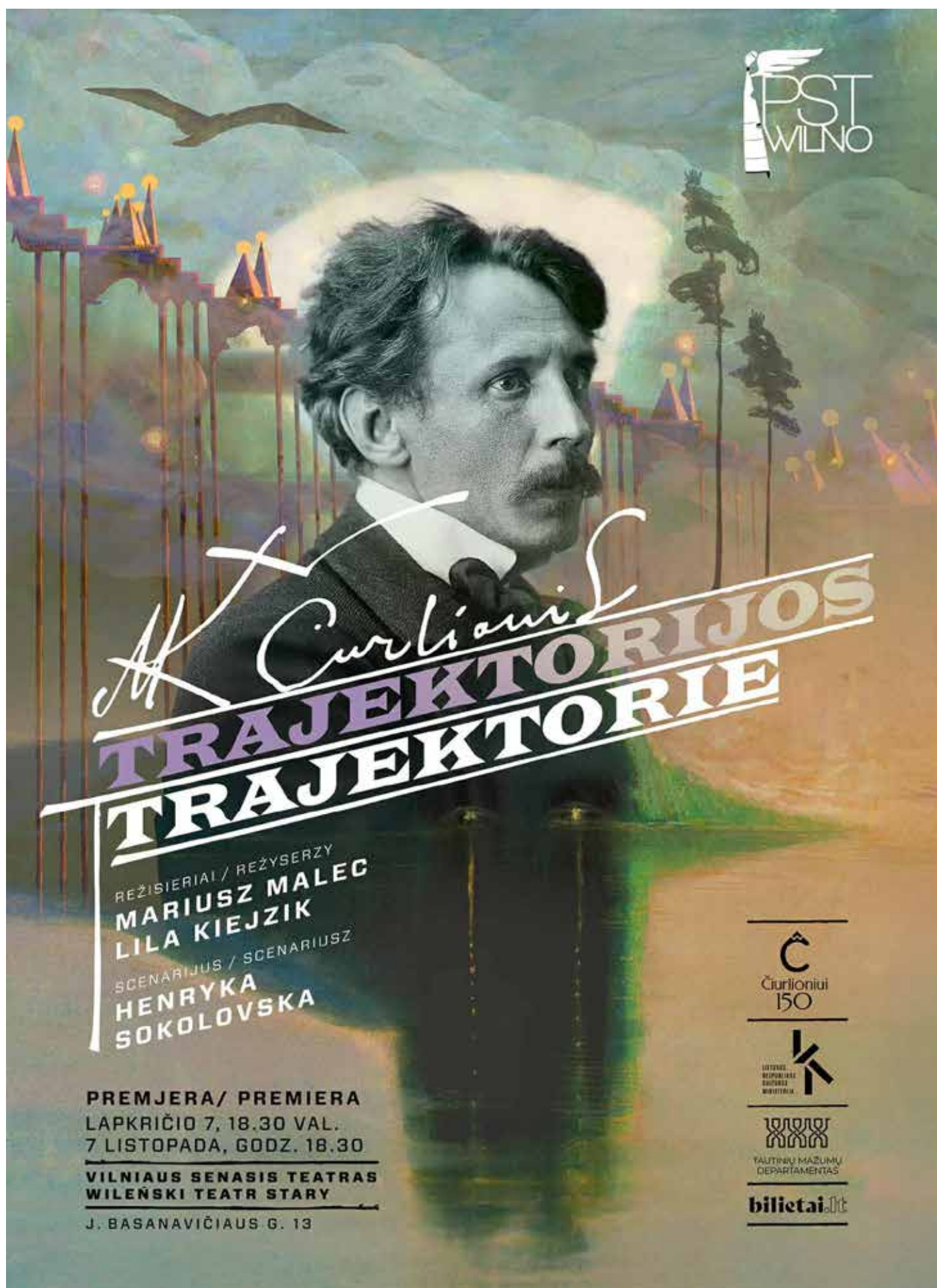
Ryszard Rynkowski zaśpiewa na pożegnanie z Wileńszczyzną

Pożegnalny koncert Ryszarda Rynkowskiego z Wileńszczyzną może się okazać jednym z największych wydarzeń artystycznych tego roku. Został zaplanowany na 8 listopada w sali koncertowej Compensa w Wilnie. Ten wyjątkowy występ stanowi pożegnanie legendy polskiej estrady z polską społecznością na Litwie. To będzie wieczór pełen wzruszeń i wspomnień. Ryszard Rynkowski zaprezentuje swoje największe przeboje, takie jak: „Szczęśliwej drogi już czas”, „Wypijmy za błędy”, „Jedzie pociąg z daleka” czy „Urodziny”, w akustycznej aranżacji.

Artysta z pierwszymi koncertami na Wileńszczyznę przyjeżdżał już w połowie lat 80. ub.w., jeszcze z grupą Vox, której był członkiem. Grupa wystąpiła wówczas w Pałacu Sportu w Wilnie. Później, po rozstaniu z grupą Vox, Rynkowski przyjeżdżał do Wilna jako solista i, jak mówił, za każdym razem spotkania te dawały mu dużą radość. Jak zdradził, przyjeżdżał do Wilna również prywatnie – bowiem w Wilnie odnalazła się rodzina artysty. Występował również z koncertami charytatywnymi oraz wspierał finansowo Społeczny Komitet Opieki nad Starą Rosą – to dzięki m.in. jego donacji odnowiono nagrobek słynnego gitarzysty z XIX w. Marka Sokołowskiego.

A więc to nie będzie tylko koncert – to będzie spotkanie z artystą, który przez dekady był blisko swoich słuchaczy z Wileńszczyzny, dzieląc się z nimi swoją wrażliwością i talentem. Będzie to ostatnia okazja, by na żywo usłyszeć jednego z najbardziej charyzmatycznych wokalistów polskiej sceny.

Koncert Ryszarda Rynkowskiego w sali Compensa organizuje agencja „Polskie Imprezy na Litwie”. Bilety dostępne na www.bilietai.lt w cenie od 39 do 69 euro. Ostatnie bilety są jeszcze dostępne w sprzedaży, ale zainteresowanie miłośników jego twórczości jest ogromne. ■



PSST
WILNO

Al. Čiurlionis
TRAJEKTORIJS
TRAJEKTORIE

REŽISIERIAI / REŽYSERZY
MARIUSZ MALEC
LILA KIEJZIK

SCENARIJUS / SCENARIUSZ
HENRYKA
SOKOLOVSKA

PREMJERA/ PREMIERA
LAPKRIČIO 7, 18.30 VAL.
7 LISTOPADA, GODZ. 18.30

VILNIAUS SENASIS TEATRAS
WILEŃSKI TEATR STARY

J. BASANA VIČIAUS G. 13

Čiurlioniui
150

LITUVOS
REPUBLIKOS
KULTŪROS
MINISTRIJA

TAUTINIŲ MAŽUMŲ
DEPARTAMENTAS

bilietai



Balonowy zawrót głowy

Rajmund Klonowski

Ostatnie tygodnie upłynęły nam w cieniu latających nad Wileńszczyzną balonów przemysłowych. Z ich powodów zamykano nawet wileńskie lotnisko, co powodowało straty finansowe z jednej strony, a niedogodność dla tysięcy podróżujących – z drugiej. A to będzie skutkowało kolejnymi stratami dla wileńskiego portu lotniczego, gdyż jak ktoś ma na jakimś lotnisku przykre doświadczenie, to w przyszłości stara się go unikać. A odwołanie lotu czy jego przełożenie na bliżej nieokreśloną przyszłość, bycie pozostawionym samemu sobie w tym chaosie – to doświadczenia zdecydowanie przykre.

Jak się później okazało, wstrzymywanie pracy lotniska było bardziej dmuchaniem na zimne. Ponieważ AB „Oro navigacja”, odpowiedzialne za podejmowanie takich decyzji, na swoich radarach nie widziało balonów, o których otrzymywało informację ze źródeł wojskowych – a to na swoich radarach te balony widziało. I kiedy przedstawiciele AB „Oro navigacja” otrzymali dostęp do obserwacji nielegalnych balonów, lotniska można było już nie zamy-

Wielu z nas zna osoby, które nigdzie nie pracują, a ciągle jeżdżą luksusowymi autami ze „specjalnymi” numerami w stylu „BR4TVA” czy podobny „D3B1L”.

gacja” jest już spółką akcyjną zamiast instytucją państwową? Takich pytań można zadawać dużo.

Są także pytania, na które warto odpowiedzieć sobie samym. Otóż na ładunku przenoszonym przez jeden taki balon przemysłowy mają 150 euro zysku. Suma nieprzesadna, zważywszy na kłopot – ale na dużą skalę się potęguje. A przecież wielu z nas zna osoby, które nigdzie nie pracują, a ciągle jeżdżą luksusowymi autami ze „specjalnymi” numerami w stylu „BR4TVA” czy podobny „D3B1L”. Wielu z nas zna miejsca, w których o dowolnej porze można kupić papierosy czy alkohol bez akcyzy; meliny, czyli tzw. toczki. To warto wiedzieć, że to się odbywa za koszt nas wszystkich – bo dla pokrycia strat, powodowanych ich działalnością, podnoszą podatki dla reszty społeczeństwa. I pytaniem, na które trzeba odpowiedzieć, jest – czy rzeczywiście musimy ich tolerować i utrzymywać?

kać. Tutaj może się rodzić dużo pytań; przecież ta sama AB „Oro navigacja” odpowiada za pilnowanie lotów balonów cywilnych nad Wilnem, a zatem jakieś balony jednak na swoich radarach musi „widzieć”. I skoro o balonach przemysłowych wiadomo co najmniej od dwóch lat, i wiadomo, że mogą stanowić zagrożenie dla lotnictwa, to dlaczego AB „Oro navigacja” nie nabyła takich radarów, które by były w stanie je widzieć? I jaki wpływ na to wszystko ma fakt, że od 2 stycznia 2023 r. „Oro navi-



Dobra okazja do przedstawienia naszych racji

Antoni Radczenko

Z powodu inwazji balonów meteorologicznych z Białorusi w litewską przestrzeń powietrzną wileńskie lotnisko czterokrotnie wstrzymywało loty. W nocy z niedzieli na poniedziałek 26–27 października zamknięcie lotniska dotknęło 7 tys. pasażerów. Inwazja balonów z Białorusi zdominowała debatę społeczną w ostatnim tygodniu.

Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia nie z pospolitymi przemysłowcami, tylko z zorganizowaną operacją reżimu Łukaszenki. Przyznała to sama premier Inga Ruginienė. „W ten sposób wysyłamy sygnał Białorusi. Mówimy, że żadne hybrydowe ataki nie będą tolerowane” – tak szefowa rządu skomentowała zamknięcie przejść granicznych z Białorusią.

Ze względu na postępującą polaryzację polityczną w kraju debatę zdominowali politycy z obu zwalczających się obozów.

Litwa ponownie znalazła się w centrum uwagi. To dobra okazja do tego, by wspólnie z regionalnymi partnerami mocniej przekonywać sojuszników do wzmocnienia wschodniej flanki NATO i UE.

Opozycja zarzucała rządzącym opieszałość w podejmowaniu decyzji. Koalicja rządząca odpowiadała, że zaistniała sytuacja jest pokłosiem nic nierobienia w tej dziedzinie przez poprzednią ekipę rządzącą. Pod tym względem obie strony niczym nie zaskoczyły. Aczkolwiek tak ostra wymiana zdań, w tak napiętej sytuacji geopolitycznej, optymizmem nie napawa.

Niemniej jest też dobra wiadomość. Solidarność z Litwą wyrazili członkowie Urzędu Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. „Ta hybrydowa działalność musi się skończyć, a Białoruś musi zapobiec dalszym incydentom. Unia Europejska będzie nadal wywierać presję na reżim za jego współudział w wojnie Rosji przeciwko Ukrainie oraz wspierać ochronę wschodniej granicy UE” – wtórował jej przewodniczący Rady Europejskiej António Costa. Ich słowa były cytowane przez największe i najbardziej wpływowe media.

Litwa ponownie znalazła się w centrum uwagi. To dobra okazja do tego, by wspólnie z regionalnymi partnerami mocniej przekonywać sojuszników do wzmocnienia wschodniej flanki NATO i Unii Europejskiej. Czy jednak ze względu na wspomnianą wcześniej polaryzację, która dotyczy nie tylko Litwy, będzie w stanie odpowiednio zagospodarować zaistniałą koniunkturę?

Pochówek w kościele – wyraz statusu i prestiżu

Justyna Giedrojc

Od wieków w kościołach chowano przede wszystkim duchownych, fundatorów kościołów, arystokrację, osoby szczególnie zasłużone.



Tradycja kościelna przewiduje, że biskup jest chowany w katedrze diecezji. W podziemiach archikatedry wileńskiej są także pochowani m.in. wielki książę Witold, król Aleksander Jagiellończyk oraz dwie żony Zygmunta Augusta

Fot. Marian Paluszkiwicz

Katedra wileńska jest miejscem wiecznego spoczynku królów, władców, duchownych oraz ludzi dostojnych, zasłużonych dla Kościoła oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chowano ich w kryptach przygotowanych pod posadzką katedry. W podziemiach katedralnych znajdowało się 27 krypt o różnej głębokości i wielkości. W 20 z nich pochowano wybitnych przedstawicieli rodów: Kieżgajłów, Monwidów, Gasztołdów, Katkiewiczów, Radziwiłłów, Tyszkiewiczów, Zawiszy, Paców, Wołowiczów, Białozorów oraz innych znanych rodów litewskich.

Po słynnej powodzi w kwietniu 1931 r. dokonano sensacyjnego odkrycia. Gdy wezbrana woda Wilii ustąpiła, w podziemiach katedralnych, pod kaplicą św. Kazimierza, natrafiono na puszkę z sercem Władysława IV Wazy (król został pochowany w katedrze na Wawelu), szczątki króla Aleksandra Jagiellończyka

oraz dwóch żon Zygmunta Augusta – królowej Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny.

Na ołtarzu w kaplicy św. Kazimierza znajduje się srebrna trumna ze szczątkami św. Kazimierza. Królewicz Kazimierz Jagiellończyk zmarł w 1484 r. i został pochowany w katedrze wileńskiej. W 1602 r. królewicza kanonizowano, w 1636 r. ogłoszono patronem Litwy.

W katedrze chowano biskupów wileńskich

Ks. Mykolas Sotničenka, koordynator ds. komunikacji archidiecezji wileńskiej, zauważa, że biskup pełni posługę jako następca apostołów, co nadaje jego roli szczególne znaczenie duchowe.

– Biskup jest widzialnym początkiem i fundamentem jedności lokalnego Kościoła, a jego rolą jest »

Katedra wileńska jest miejscem wiecznego spoczynku królów, władców, duchownych oraz ludzi dostojnych, zasłużonych dla Kościoła oraz Wielkiego Księstwa Litewskiego. Chowano ich w kryptach przygotowanych pod posadzką katedry.

sprawowanie pasterskich obowiązków jako następca apostołów i wikariusz Chrystusa. W tym celu, przy pomocy kapłanów i diakonów, kieruje diecezją, sprawuje sakramenty i reprezentuje Kościół. Dlatego tradycja kościelna przewiduje, że biskup jest chowany w katedrze diecezji, w której pełnił obowiązki duszpasterskie – wyjaśnia w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” ks. Mykolas Sotničenka.

W katedrze spoczęli biskupi wileńscy, m.in.: Eustachy Wołłowicz (1572–1630), Jan Zawisza (zm. 1661 r.), Maciej Ancuta (zm. 1723 r.), Michał Zienkowicz (1670–1762), Ignacy Jakub Massalski (1727–1794).

– Ostatnim biskupem pochowanym w wileńskiej bazylice katedralnej jest abp Julijonas Steponavičius. W 1957 r. Stolica Apostolska nadała mu przywileje administratora apostolskiego z uprawnieniami biskupa rezydencyjnego. Odmówiwszy podporządkowania się żądaniom władz sowieckich, zakazującym młodzieży uczestnictwa w życiu kościelnym, został zesłany do Żagar (lit. Žagarė) w 1961 r. Dopiero 28 grudnia 1988 r. pozwolono mu objąć stanowisko administratora apostolskiego archidiecezji wileńskiej. 7 lutego 1989 r. papież Jan Paweł II wyniósł go do godności arcybiskupa i mianował ordynariuszem archidiecezji wileńskiej. Arcybiskup zmarł 18 czerwca 1991. Miejscem jego spoczynku jest Kaplica Zesłańców w bazylice archikatedralnej w Wilnie – przypomina ks. Sotničenka.



Michał Kazimierz Pac ufundował kościół św. św. Piotra i Pawła na Antokolu. Kazał się pochować pod progiem kościoła **Fot. Marian Paluszkiewicz**

– Tymczasem emerytowany biskup wileński Juozas Tunaitis, który zmarł 1 czerwca 2012 r., został pochowany na własną prośbę nie w katedrze wileńskiej, lecz przy kościele Znalezienia Krzyża Świętego w Kalwarii Wileńskiej, obok swoich współbraci kapłanów – opowiada ks. Mykolas Sotničenka.

Miejsce pochowku Witolda Wielkiego

Katedra wileńska jest także miejscem pochowku dużej części historycznej elity Litwy. W podziemiach znajduje się 110 metalowych skrzyń, zawierających szczątki ok. 1000 niezidentyfikowanych »



Emerytowany biskup wileński Juozas Tunaitis został pochowany na własną prośbę nie w katedrze wileńskiej, lecz przy kościele Znalezienia Krzyża Świętego w Kalwarii Wileńskiej **Fot. Marian Paluszkiewicz**

osób. Niewykluczone, że wśród nich znajdują się szczątki Wielkiego Księcia Witolda. W 1430 r. litewski władca został pochowany w katedrze wileńskiej obok grobu żony Anny. Miejsce pochówku Witolda Wielkiego jest nieznane.

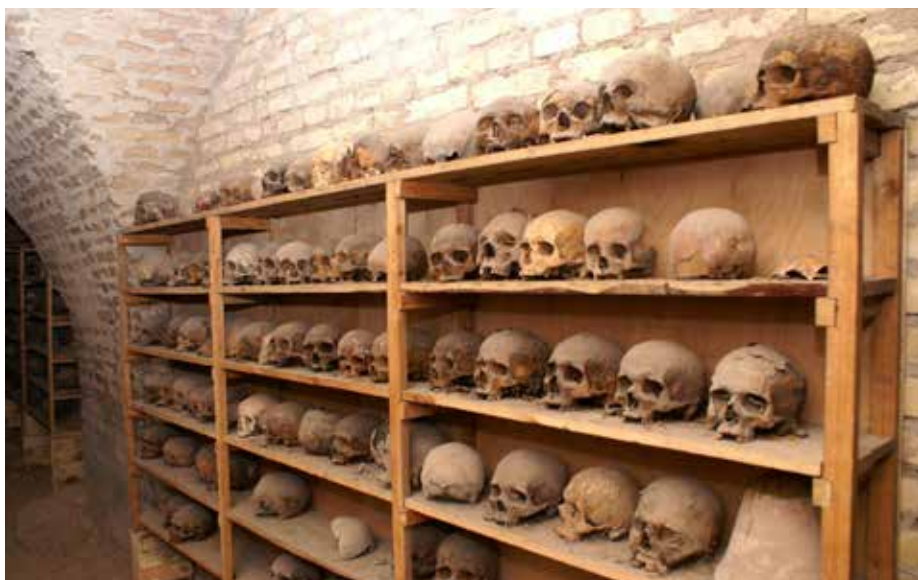
Z kolei wybitny wileński architekt Wawrzyniec Gucewicz (1753–1798), który w końcu XVIII w. nadał katedrze wileńskiej obecny wygląd, spoczął na cmentarzu przy kościele św. Stefana. Po zakończeniu II wojny światowej tę wczesnobarokową świątynię spotkał tragiczny los. Nowe władze miasta urządziły w kościele zakład, niszcząc niemal całkowicie jego szatę wewnętrzną i zewnętrzną. Zniknęła też całkowicie z powierzchni ziemi przykościelny cmentarz, na którym był pochowany architekt.

Na południowej ścianie kościoła znajduje się starannie odrestaurowana dawna tablica, na której napisane: „D.O.M. Tu w Bogu spoczywa Wawrzyniec GUCEWICZ Architekt Profesor b. Akademii Wileńskiej Zmarły 1798 roku w 45 swojego życia prosi o westchnienie do Boga za swoją duszę”. W pobliżu znajduje się współczesna tablica z portretem wybitnego wileńskiego architekta.

W kościołach chowano fundatorów

Lew Sapieha herbu Lis (1557–1633) spoczął w kościele św. Michała. Kanclerz wielki litewski, wojewoda wileński, sekretarz króla Stefana Batorego świątynię tę ufundował w latach 1594–

Na ołtarzu w kaplicy św. Kazimierza w archikatedrze znajduje się srebrna trumna ze szczątkami św. Kazimierza. Królewicz Kazimierz Jagiellończyk zmarł w 1484 r. i został pochowany w katedrze wileńskiej. W 1602 r. królewicza kanonizowano, w 1636 r. ogłoszono patronem Litwy.



Pod ołtarzem kościoła Ducha Świętego mieści się wejście do podziemi pełnych krypt grobowych **Fot. Marian Paluszkiwicz**

1597. Wznosił kościół z myślą o urządzeniu tutaj rodzinnego mauzoleum. Bogato zdobiony rzeźbami z marmuru i alabastru nagrobek fundatora i jego dwóch żon mieści się niedaleko ołtarza głównego. Jest to największa na Litwie budowla nagrobkowa nosząca cechy baroku manieryzmu.

Michał Kazimierz Pac (1624–1682), magnat herbu Gozdawa, hetman wielki litewski, wojewoda wileński ufundował kościół św. św. Piotra i Pawła. W ten sposób chciał uczcić oswobodzenie Wilna od wojsk moskiewskich oraz własne ocalenie z rąk zbuntowanych żołnierzy. Pac kazał się pochować pod progiem kościoła i wyryć na płycie nagrobnej napis: „Hic iacet peccator” (Tu leży grzesznik).

Według miejscowej legendy po pewnym czasie w płytę uderzył piorun. Przyjęto to jako dobry znak, że Pac dostatecznie odpokutował za swoje grzechy, więc nie ma potrzeby deptać po nagrobku za każdym wejściem do kościoła. Przed ponad stu laty tablicę przeniesiono spod progu kościoła i wmurowano z prawej strony przed drzwiami wejściowymi. Widoczne na niej pęknięcie wiąże się z legendą o trzaśnięciu piorunu.

Ostatni zakonnik laterański

W katakumbach antokolskiej świątyni pochowany został m.in. ks. Franciszek Zawadzki (1829–1915),

Zdarzało się, że w katakumbach kościołów chowano zwykłych mieszkańców. Tak było podczas epidemii dżumy, która nawiedziła Wilno w latach 1708–1710. Ciała zmarłych masowo przenoszono do podziemi kościelnych.

proboszcz kościoła św. św. Piotra i Pawła, ostatni zakonnik na Litwie z Kongregacji Kanoników Regularnych Laterańskich. Brał on czynny udział w powstaniu styczniowym, jego staraniem kościół został odnowiony. Obecnie o duchownym przypomina tablica na zachodniej ścianie kościoła.

Zdarzało się, że w katakumbach kościołów chowano zwykłych mieszkańców. Tak było podczas epidemii dżumy, która nawiedziła Wilno w latach 1708–1710. Ciała zmarłych masowo przenoszono do podziemi kościelnych. Pod ołtarzem kościoła Ducha Świętego mieści się wejście do podziemi pełnych krypt grobowych. Kryją one z mumifikowane zwłoki z XVII–XVIII w., m.in. szczątki żołnierzy napoleońskich i ofiar dżumy. Podczas epidemii zmarła blisko połowa mieszkańców miasta. ■



Tegoroczny bilans konkursu to 10 wyróżnionych szkół i 80 nagrodzonych nauczycieli różnych przedmiotów Fot. Marian Paluszkiewicz

„Najlepsze szkoły, najlepsi nauczyciele”. Przeszłość i współczesność konkursu

Czesława Osipowicz

Konkurs, który budzi spore emocje wśród dyrektorów i nauczycieli szkół polskich na Litwie (każdy uważa, że jego szkoła jest najlepsza – i ma rację), po raz pierwszy odbył się przed trzydziestu laty – w końcu kwietnia 1995 r.

Inicjatorem tego wydarzenia był ówczesny konsul generalny RP w Wilnie Dobiesław Rzemieniewski, który tak się „tłumaczył” z tej inicjatywy: „Po przyjeździe na Litwę zdałem sobie sprawę z tego, jak ważną rolę w utrzymaniu polskości odgrywają szkoły i nauczyciele. Jednak ich trud nie zawsze jest należycie oceniony (...). Wspaniałych nauczycieli jest wielu, tak wielu, iż nagrodzenie wszystkich przerasta możliwości konsulatu. Kryterium, którym kierowaliśmy się, może być, jak każde zresztą kryterium, dyskusyjne. Jest jednak obiektywne, bowiem indeks studencki to jest fakt” (cyt. Za „Kurier Wileński”).

Skromne początki

Ówczesna gala konkursowa odbyła się w nowo wybudowanej Szkole Średniej im. Jana Pawła II. W kwietniu 1995 r. budowlancy oddali do użytku szkolną salę i w dziejach placówki była to pierwsza impreza w nowiutkiej, pachnącej farbą auli.

Szkoły średnie, które zdobyły zaszczytny tytuł najlepszej, były zaledwie dwie: wileńska nr 5 oraz rejonowa w Awiżeniach. Kryterium wyboru jedno: liczba absolwentów, którzy dostali się na wyższe uczelnie. Uhonorowano pięć polonistek i tyłuż matematyków, ponadto sześciu nauczycieli innych przedmiotów. Skromniutko.

Już po roku laureatkami zostały trzy placówki, dziewięć szkół zostało wyróżnionych, 17 nauczycieli otrzymało nagrody.

W ciągu kilku lat impreza odbywała się w Szkole Średniej im. Jana Pawła II, która pełniła funkcję gospodarza i tym samym współorganizatora. Właśnych klas maturalnych jeszcze się nie dorobiła.

Akcja „Pieczętka”

Przypomina mi się pewne tragicomiczne wydarzenie z tego okresu. Była to druga, może trzecia edycja konkursu. Piątkowe popołudnie. Do szkoły przed rozpoczęciem impre- ➤

Wysoka średnia z egzaminów ze wszystkich przedmiotów w naszych szkołach. Naprawdę możemy być dumni. W wielu litewskich placówkach jest ona gorsza! W poprzednich latach nie byłam taką optymistką.

zy przyjechał prezes „Macierzy Szkolnej” Józef Kwiatkowski. Na chwilę wszedł do gabinetu dyrektora Adam Błaszkiwicz, który z harcerzami na kilka wolnych dni wybierał się na spływ kajakowy.

Uroczystość odbyła się, potem bankiet i długie rodaków rozmowy... Trochę to trwało. Gdy wieczorem wszyscy się rozjechali, zaproponowałam panu Kwiatkowskiemu, że zawiozę go do domu. Prezes na to, że owszem, ale w gabinecie dyrektora zostawił dokumenty i pieczętkę, a jutro wcześniej rano służbowo wyjeżdża do Warszawy, bo papiery ma dostarczyć do „Wspólnoty Polskiej” i podstemplować tam na miejscu inne pisma urzędowe.

Gabinet dyrektora był zamknięty na cztery spusty. Kluczy nie mieliśmy. Z wicedyrektorem Romanowskim próbowaliśmy drzwi sforsować, ale zamki były jakieś antywłamaniowe. Bez sprzętu specjalistycznego, np. łomu, nic się nie dało zrobić.

Zawiozłam prezesa do domu, wróciłam do szkoły i przed północą zaczęliśmy akcję „Pieczętka”. Zwróciliśmy się z prośbą o pomoc do pana Józefa Sz., naszej szkolnej „złotej rączki”. Nie odmówił. Przywieźliśmy go do szkoły. Drzwi wyważył grubo po północy. Pieczętkę i dokumenty tejże nocy dostarczyłam prezesowi.

Wyznaczniki sukcesu

Mijały lata. Wybudowano Dom Kultury Polskiej i odtąd w gościnnych progach przy Nowogródzkiej odbywał się konkurs, którego głównym organizatorem, jedynym i niestrudzonym, było i jest Stowarzyszenie Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna” w osobach dwójga prezesów



Nadal najlepszą szkołą polską na Litwie pozostaje Gimnazjum im. św. Jana Pawła II w Wilnie. Jej dyrektor Adam Błaszkiwicz – w głębi zdjęcia
Fot. Marian Paluszkiewicz

– Józefa Kwiatkowskiego i Krystyny Dzierżyńskiej.

Zmieniały się czasy, zmieniały się kryteria wyboru najlepszych, które opracowywał i zatwierdzał zarząd stowarzyszenia. Przez wiele lat kryteria były takie, że nikt nie mógł podważyć wiarygodności wyników konkursu.

„Kurier Wileński” drukował ogromne tabele z pełną informacją o dokonaniach każdego z gimnazjów. Oczywiście, nie wszystkim to się podobało. Szczególnie szkołom, które w rankingu zajmowały dalsze pozycje. W każdym konkursie, tak samo jak w zawodach sportowych, ktoś jest

lepszy, ktoś gorszy. Normalny sportowiec nie będzie się wściekał na kogoś, kto jest lepszy od niego, tylko z pokorą przyjmie nieprzychylny mu werdykt i wyciągnie odpowiednie wnioski.

W roku bieżącym zarząd Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna” postanowił zmienić kryteria, ograniczyć ich liczbę i nie podawać wyników do publicznej wiadomości. O ile mi wiadomo, nie zrezygnował z rubryki, która informuje, ilu absolwentów dostało się na wyższe uczelnie. W dzisiejszych czasach akurat taki paradygmat nie jest wyznacznikiem jakości i sukcesu. »



Zarząd „Macierzy Szkolnej” opracowuje i zatwierdza kryteria konkursu, prezes Krystyna Dzierżyńska (w środku) ogarnia całą resztę
Fot. Marian Paluszkiewicz

Po pierwsze, na studia może dostać się każdy, kto sobie zamarzył, wystarczy mieć świadectwo dojrzałości. Po drugie, wielu młodych robi sobie przerwę od nauki z różnych powodów i po roku bardziej świadomie wybiera odpowiedni kierunek studiów. Znam niejednego taki przykład. Po trzecie, nie ma możliwości, by zweryfikować podane przez szkoły informacje.

Obiektywnie ocenić

W miarę obiektywnie ocenić i wyłonić najlepszych było o wiele prościej, gdy NEC (Nacionalinis egzaminų centras) na swoim portalu podawał wyniki egzaminów państwowych każdej ze szkół. Przed paru laty NEC przekształcił się w NŠA (Nacionalinė švietimo agentūra). Praktycznie niewiele się zmieniło prócz nazwy instytucji, która zrezygnowała z publikowania wyników egzaminów państwowych na swojej stronie internetowej. Głośno o tym było za sprawą czasopisma „Reitingai”, które nie miało możliwości, by dokonać analizy wyników egzaminów i informować społeczeństwo o tym, jaki aktualnie poziom nauczania prezentują gimnazja litewskie. Czasopismo stworzyło swoje kryteria oceny. Nie były one perfekcyjne, aczkolwiek pewne wnioski można było wyciągnąć i mieć ogólne wyobrażenie o stanie edukacji w państwie.

Narodowa Agencja Oświaty (NŠA) jednak się zreflektowała i drugi rok z rzędu podaje średnie wyniki egzaminów ze wszystkich przedmiotów każdej ze szkół. Nie jest to kryterium doskonałe (np. 1 uczeń z 30 zdaje fizykę na maturze, otrzymuje 100 pkt i taka szkoła z tego przedmiotu jest najlepsza na Litwie, co nie do końca odzwierciedla stan faktyczny), jednak z powodzeniem można na jego podstawie wyciągnąć właściwe wnioski co do jakości nauczania w poszczególnych szkołach, szczególnie gdy bierzemy pod uwagę szkoły wileńskie, które na brak uczniów raczej nie narzekają. Jak to wygląda, można przekonać się analizując dane z tabeli znajdującej się na stronie www.nsa.smsm.lt (zakładki: NŠA 2025 m. VBE rezultatai pagal mokyklas/VBE vidurkiai).

„Kurier Wileński” przez lata drukował ogromne tabele z pełną informacją o dokonaniach każdego z gimnazjów. Oczywiście, nie wszystkim to się podobało. Szczególnie szkołom, które w rankingu zajmowały dalsze pozycje.

Co mnie zaskoczyło po tej analizie, jeśli chodzi o szkoły polskie? Wysoka średnia z egzaminów ze wszystkich przedmiotów w naszych szkołach. Naprawdę możemy być dumni. W wielu litewskich placówkach jest ona gorsza! W poprzednich latach nie byłam taką optymistką. Rosyjski dominował nad wszystkimi przedmiotami. Były szkoły, w których uczniowie nie zdawali innych egzaminów państwowych oprócz rosyjskiego! Odnoszę wrażenie, że zlikwidowanie sprawdzianu z języka rosyjskiego miało zdecydowanie pozytywny wpływ na tegoroczny wynik matur w naszych szkołach.

Nie zaskoczyło mnie natomiast, że nadal najlepszą szkołą polską na Litwie pozostaje Gimnazjum im. św. Jana Pawła II w Wilnie.

Refleksje pokonkursowe

Konkurs „Najlepsza szkoła, najlepszy nauczyciel” odbył się po raz 31., chociaż w tym roku mija 30 lat

od pierwszej edycji wydawnictwa. Niezgodność lat i liczby odsłon konkursu wynika z tego, że w jednym roku odbył się on dwukrotnie: wiosną i jesienią. Podsumowanie wyników prawie po roku od zdanych egzaminów miało się z celem.

Tegoroczny bilans konkursu – 10 wyróżnionych szkół i 80 nagrodzonych nauczycieli różnych przedmiotów. Nikt się specjalnie nie zastanawia, kto się zajmuje organizacją i jest siłą napędową tej największej corocznej imprezy (i wszystkich innych), która obejmuje ogół polskich szkół na Litwie i robi to perfekcyjnie. Zarząd Stowarzyszenia Nauczycieli Szkół Polskich na Litwie „Macierz Szkolna” opracowuje i zatwierdza kryteria konkursu, prezes Krystyna Dzierżyńska ogarnia całą resztę. Są to setki czynności związanych z organizacją tej jednej imprezy, a przecież tysiące innych spraw prezes ma do załatwienia.

Czasami słyszę złośliwie zadawane pytanie przez nierobów: „A co ta Macierz robi?”. Niedługo będą mogli znaleźć odpowiedź na to pytanie, czytając uważnie, ze zrozumieniem (jeżeli potrafią), broszurę wydaną z okazji 35 pracujących lat polskiej „Macierzy Szkolnej” na Litwie.



Konkurs „Najlepsza szkoła, najlepszy nauczyciel” odbył się po raz 31.

Fot. Marian Paluszkiewicz

Jeśli coś się kocha – jak teatr – zawsze znajdzie się na to czas

Rozmawiała Honorata Adamowicz

Z okazji 65-lecia Polskiego Teatru „Studio” kontynuujemy nasz cykl rozmów z osobami, które na różne sposoby są związane z naszym teatrem i jego publicznością. Każde spotkanie to wyjątkowa okazja, by spojrzeć na teatr z innej perspektywy – tym razem z perspektywy świata edukacji.



Marek Pszczółowski (w środku) w spektaklu muzycznym „Na wileńskiej ulicy” Polskiego Teatru „Studio” Fot. archiwum prywatne

Naszymi rozmówcami są dyrektor Gimnazjum w Zujunach Marek Pszczółowski i Małgorzata Wasilewska – przedstawiciele środowiska oświaty, którzy od lat współpracują z PTS i z pasją wspierają rozwój kulturalny młodzieży. W rozmowie opowiadają o roli teatru w edukacji.

Honorata Adamowicz: Jak zaczęła się Pana i Pani przygoda z teatrem?

Marek Pszczółowski: Na drugim roku studiów koleżanka ze studiów zaproponowała, abym schodził na próbę i wypróbował siebie. Od szkolnych lat często było się na scenie na imprezach szkolnych czy to olimpiadach, to była też chęć wypróbowania siebie w czymś poważniejszym. I rozpoczęła się ta przygoda z teatrem.

Małgorzata Wasilewska: Moja przygoda z teatrem zaczęła się jeszcze w dzieciństwie. Oglądałam moich rodziców, którzy należeli do teatru, i z zapartym tchem śledziłam ich występy. W domu razem z siostrą Nadiędzą (obecnie Rusecką), kuzynem Edwardem Kiejzikiem i bratem Danielem Jezulewiczem przygotowywaliśmy krótkie scenki i wiersze dla rodziny – to były nasze pierwsze kroki na małej, domowej scenie.

Już wtedy, nie do końca to rozumiejąc, czułam, że teatr to coś więcej niż zabawa – że to sposób na bycie razem, na rozmowę o wartościach, o emocjach, o świecie.

Później, już w dziewiątej klasie, dołączyłam do Teatru „Studio” – i właściwie zostałam tu na zawsze. To miejsce stało się przestrzenią emocji, wzruszeń, długoletnich przyjaźni, ale też miejscem, gdzie pielęgnuję >>



Małgorzata Wasilewska (z lewej) w garderobie przez karnawałową rewiją

Fot. archiwum prywatne

gnuje się polskość i kulturę, która nas kształtuje. Teatr „Studio” zawsze był dla mnie domem duchowym – miejscem, w którym można czuć dumę z tego, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

Teatr to też część naszej rodzinnej historii. Moja siostrzenica, Karolina Rusiecka, od najmłodszych lat występuje w spektaklach, kontynuując tradycję, która zaczęła się jeszcze w czasach moich rodziców. Cieszę się, że pasja do teatru trwa w naszej rodzinie – że przekazujemy ją dalej, ucząc młodsze pokolenia wrażliwości, odwagi i miłości do polskiej kultury.

Czy pamiętają Państwo swój pierwszy spektakl lub rolę? Jakie emocje temu towarzyszyły?

Marek: Pierwszy spektakl to „Jaryna” według J.I. Kraszewskiego. Emocji masa, gdyż to pierwsza rola i od razu jedna z głównych. Duże wyzwanie i odpowiedzialność. Nerw, strach, a potem zadowolenie ze spektaklu.

Małgorzata: Pierwszą ważną rolą była właśnie Jaryna w sztuce „Jaryna” według powieści Kraszewskiego. Pamiętam ogromną treść, ale też radość i dumę. Kiedy wyszłam na scenę, myślałam, że zemdleję, ale po chwili ogarnęło mnie

uczucie niezwyklej wolności. Zrozumiałam, że teatr pozwala być sobą – może nawet bardziej niż w życiu prywatnym.

Co skłoniło Pana i Panią – jako osobę z branży oświaty – do wyjścia na scenę?

Marek: Wyjście na scenę nastąpiło u mnie wcześniej niż początek pracy w oświacie. Ale i teatr, i oświata mają podobne, niemalże identyczne zadania – wychowywać, nauczać, kształcić. Teatr dopełnia oświatę, urozmaica, robi ciekawszą w odbiorze.

Małgorzata: Teatr i szkoła są dla mnie bardzo blisko siebie. Nauczyciel i aktor mają wiele wspólnego – oboje przekazują emocje, inspirują, uczą odwagi.

Kiedy widzę, jak moi uczniowie rosną na scenie, jak uczą się panować nad treścią i pokonywać własne lęki, wiem, że ta praca ma głęboki sens. Poprzez teatr uczymy ich nie tylko mówić tekst, ale też rozumieć słowo, war-

Małgorzata Wasilewska: To miejsce stało się przestrzenią emocji, wzruszeń, długoletnich przyjaźni, ale też miejscem, gdzie pielęgnuje się polskość i kulturę, która nas kształtuje. Teatr „Studio” zawsze był dla mnie domem duchowym – miejscem, w którym można czuć dumę z tego, kim jesteśmy i skąd pochodzimy.

tość, tradycję. To właśnie teatr pozwala młodemu pokoleniu odkryć polskie słowo, kulturę i duchowość – w sposób, który porusza serce.

Jak udaje się Panu i Pani łączyć obowiązki zawodowe z pasją teatralną?

Marek: Wszystko zależy od tego, jak układasz i planujesz swój czas. Oczywiście czasami obowiązki i pasja nakładają się wzajemnie, ale jeżeli starać się znaleźć wyjście, najczęściej ono znajdzie się.

Małgorzata: To wymaga dobrej organizacji, ale jeśli coś się kocha, zawsze znajdzie się na to czas. Po lekcjach często zostaję z dziećmi, by ćwiczyć role i przygotowywać scenografię. Dla mnie to nie obowiązek, lecz radość. Teatr daje mi energię, której później potrzebuję w codziennej pracy.

Zawsze wierzyłam, że wychowanie przez sztukę to najlepszy sposób, by uczyć wrażliwości, współpracy i dumy z własnych korzeni.

Czy praca w szkole pomaga w graniu na scenie?

Marek: Granie na scenie właśnie bardzo pomogło w kontakcie z uczniami, rodzicami, nauczycielami, przy częstych wystąpieniach i świętach.

Małgorzata: Zdecydowanie tak. Każda lekcja to trochę jak spektakl – trzeba mówić z emocją, przyciągać uwagę, reagować na ludzi. Praca z uczniami nauczyła mnie cierpliwości, uważności i tego, jak mówić tak, by inni naprawdę słuchali.

Scena i klasa to dwa światy, które się przenikają – w obu chodzi o kontakt, szczerość i przekazanie prawdy. Teatr rozwija empatię, uczy wrażliwości i pomaga budować relacje.

Zawsze powtarzam moim uczniom: „Wykorzystaj swoją minutę – zrób to najlepiej, jak potrafisz”.

To moje małe motto – zarówno na scenie, jak i w życiu. Widzę, jak teatr daje im pewność siebie, ale też uczy ich szacunku do słowa, do tradycji i do drugiego człowieka.

To właśnie poprzez teatr staram się prze- »

kazywać wartości, które są fundamentem polskiego wychowania: prawda, dobro, odpowiedzialność i wrażliwość na innych.

Jak reagują uczniowie, gdy widzą Pana/Panią na scenie?

Marek: Na początku ze zdziwieniem, że jak to dyrektor może grać na scenie. Ale lubię, kiedy uczniowie są w sali. Dobrze zagrana rola to dobry przykład tego, jak iść do celu i jego osiągać. Takim przykładem chcę być dla nich.

Małgorzata: Zaskoczenie, a potem duma – to najczęstsze reakcje. Uśmiechają się, gratulują, zadają pytania. Dla nich to ważne zobaczyć, że nauczyciel też potrafi przeżywać, wzruszać się, tworzyć. Cieszę się, że mogą zobaczyć we mnie nie tylko nauczycielkę, ale też człowieka, który kocha sztukę i kulturę. Wielu z nich pyta, czy też mogą przyjść do teatru – niektórzy zostają tak samo jak i ja.

Co dla Pana i Pani znaczy teatr – osobiście i w kontekście 65-lecia jego istnienia?

Marek: Po tylu latach grania w Polskim Teatrze „Studio” i bycia na scenie teatr jest już częścią ciebie i cieszę się, że przy okazji jubileuszu jestem częścią tego kolektywu, do którego dołączyłem ponad 25 lat temu.

Małgorzata: Teatr to dla mnie nie tylko pasja, ale sposób życia i służby – ludziom, kulturze, polskości. To miejsce, w którym pielęgnuje się pamięć, język, wrażliwość i poczucie wspólnoty.

W kontekście jubileuszu 65-lecia czuję ogromną wdzięczność, że mogę być częścią tej historii. Teatr „Studio” to nie tylko scena – to serce polskiej kultury w Wilnie, przestrzeń, która wychowała już kilka pokoleń widzów i aktorów.

Czy był taki moment, kiedy Pana i Pani pomyśleli: „Dla takich chwil warto grać”?

Marek: Każda udana rola przynosi taką myśl.

Małgorzata: Tak – zawsze wtedy, gdy po spektaklu widać w oczach widzów wzruszenie. Ta cisza po ostatnim słowie, a potem oklaski – to moment, w którym czuję, że teatr dotyka duszy. I dla takich chwil warto żyć i grać.

Czy było kiedyś tak, że scena stała się miejscem prawdziwego wzruszenia?

Marek: Może łez – nie, ale wzruszenie prawdziwe towarzyszą każdej roli, w którą wkładasz całego siebie, całą duszę.

Małgorzata: Wielokrotnie. Czasem emocje są tak silne, że łzy przychodzą same – bez gry, bez udawania. To wtedy czuję, że teatr jest najprawdziwszym miejscem na świecie.

Czego nauczył Pana/Panią teatr o sobie samej?

Marek: Teatr pomaga poznać samego siebie – jakie masz emocje, co jest w tobie maską, a co prawdziwe. Uczy pracy zespołowej, uczy poznawać i rozumieć ludzi, uczy odwagi. Poznałem bardziej siebie, jakie mam emocje i pasje, które były gdzieś głęboko wewnątrz. Jak też i ile mam zawziętości, idąc ku celu.

Małgorzata: Nauczył mnie szczerości, pokory i odwagi. Pokazał, że każde słowo, gest i spojrzenie mają znaczenie. ■



Młodziutka Małgosia Wasilewska – zdjęcie z czasów szkolnych Fot. archiwum prywatne

Folklor to dziś jedyna przestrzeń, w której może istnieć kultura białoruska

Antoni Radczenko

Festiwal „Starożytna Białoruś” – zaznacza Alaksandr Adamkowicz, prezes Towarzystwa Kultury Białoruskiej na Litwie – powinien łączyć miejscowych Białorusinów z emigrantami, którzy uciekli przed reżimem Łukaszenki.



8 listopada w Centrum Kultury w Nowej Wilejce odbędzie się szósta edycja festiwalu „Starożytna Białoruś” Fot. archiwum prywatne

Białoruś przez ostatnie pięć lat na Litwie, zresztą w całej Europie, nie ma dobrej prasy. W sierpniu 2020 r. Alaksandr Łukaszenka sfałszował wybory prezydenckie. Odpowiedzią były wielotysięczne protesty, które domagały się jego dymisji. Dyktator jednak nie ugiął się pod społeczną presją i zastosował represje na niespotykaną dotąd skalę. Następnie władze w Mińsku rozpętały na granicach z Polską, Litwą i Łotwą kryzys migracyjny.

Balony z Białorusi

Ostatnio o Białorusi jest głośno za sprawą przemytniczych balonów, które zakłócają ruch powietrzny wileńskiego lotniska. Po ostatnim incydencie Litwa zamknęła wszystkie przejścia graniczne z Białorusią.

– Już teraz przygotowaliśmy decyzję o zamknięciu granicy na czas nieograniczony. Będzie kilka wyjątków od tej zasady. Dyplomaci oraz poczta dyplomatyczna będą mogli poruszać się przez granicę. Poza tym

nasi obywatele oraz obywatele krajów UE będą mogli przekroczyć granicę od strony białoruskiej. Inny ruch będzie wstrzymany – mówiła w miniony poniedziałek premier Inga Ruginienė.

Prezes Towarzystwa Kultury Białoruskiej na Litwie Alaksandr Adamkowicz w pełni rozumie i popiera decyzję władz litewskich. – To oczywiście boli. Niemniej popieramy działania władz Litwy. Rozumiem, że trzeba coś robić, aby ten nieludzki reżim Łukaszenki został zniszczony. Łukaszenka musi zrozumieć, że za wszystko, co robi, spotka go kara. Być może nie dzisiaj i nie jutro, ale kara na pewno jego osiągnie. Litwa w danej sytuacji nie może nie reagować – wyznaje w rozmowie z „Kurierem Wileńskim” działacz białoruskiej mniejszości na Litwie.

Nie pomagają, tylko szkodzą

Białorusini na Litwie stanowią trzecią największą mniejszość narodową. Mniejszość białoruska liczy pra- »

wie 30 tys. osób. W odróżnieniu jednak od polskiej mniejszości litewscy Białorusini nie mogą liczyć na pomoc władz ze swojej stolicy, Mińska.

– To jest duże wyzwanie. Metropolia nie tylko nie wspiera Białorusinów poza krajem, ale dokonuje różnych działań przeciwko działaczom białoruskiej mniejszości na Litwie. Teraz zwyczajnie zostaliśmy odcięci od naszej ojczyzny. Nie możemy tam pojechać. Nie możemy kontaktować z ludźmi stamtąd. Takie funkcjonowanie, kiedy możesz liczyć tylko na własne siły, jest bardzo trudne – komentuje sytuację Adamkowicz.

Mimo tych trudności białoruska wspólnota na Litwie prężnie działa. 8 listopada w Centrum Kultury w Nowej Wilejce odbędzie się szósta edycja festiwalu „Starożytna Białoruś”. – Nazwa ma pokazać, że kultura białoruska jest całkiem dawną kulturą. Folklor białoruski liczy 1000 lat. Chcemy podkreślić, że Białoruś i kultura białoruska wcale nie powstała dopiero w 1918 r. Na przykład w pewnych regionach Polesia w folklorze białoruskim można odnaleźć elementy folkloru bałtyckiego – wyjaśnia nasz rozmówca.

Folklor białoruski

„Od XIX w. aż po dziś dzień białoruska historia podlega pewnej regule: po każdym nieudanym powstaniu lub krótkiej odwilży społeczeństwo przeżywa kryzys, w wyniku którego kultu-

ra zawsze uchodzi w stronę folkloru. W okresie represji otwarta dyskusja na temat nowych sensów, które pojawiły się w ciągu poprzednich, przedkryzysowych dekad, zaczyna być niebezpieczna, dlatego folklor stanowi jedyną akceptowalną i niegroźną formę istnienia kultury i jej przetrwania. Z folkloru następnie wyrasta nowe pokolenie i doprowadza do kolejnego powstania lub »odwilży«, po czym cały cykl się powtarza” – pisze w artykule „Białoruski folklor stanowi język i środek wyrazu. Tożsamość przetrwa represje” Maryja Badziej (ukazał się na łamach dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”).

Autorka w swojej publikacji podkreśla, że język i kultura białoruska, począwszy od wieku XIX, był nieustannie zwalczana przez rosyjskiego zaborcę. Na przykład po powstaniu styczniowym oficjalnie było zabronione używanie nazwy „Białoruś”. Lata 30. XX w. to szeroko zakrojone represje względem białoruskiej inteligencji.

Początkowo wyglądało na to, że po rozpadzie ZSRS Białoruś będzie mogła bez problemu rozwijać własną państwowość, kulturę i język. Niestety, wygrana Aleksandra Łukaszewskiego ponownie nasiliła tendencje rasyfikacyjne. „Po wydarzeniach 2020 r. przez Białoruś nieustająco przetacza się fala represji. Jakakolwiek otwarta wypowiedź na niebezpieczne tematy grozi surowymi konsekwencjami. Folklor znów sta-

Mniejszość białoruska na Litwie liczy prawie 30 tys. osób. W odróżnieniu jednak od polskiej mniejszości litewscy Białorusini nie mogą liczyć na pomoc władz ze swojej stolicy, Mińska.

je się jedyną przestrzenią, w której może istnieć kultura. Odgrywa też ważną rolę poza granicami Białorusi, staje się narzędziem poszukiwania i zachowania tożsamości” – zaznacza autorka.

Lokalni i emigranci

Na festiwalu „Starożytna Białoruś” wystąpią nie tylko zespoły z Litwy. – Na festiwalu będzie można zobaczyć zespoły z Polski, Łotwy oraz Litwy. Widz będzie mógł się zapoznać z folklorem łotewskim, litewskim, białoruskim oraz lokalnym polskim, który będzie reprezentowany przez zespół „Turgielanka”. „Turgielanka” w swoim repertuarze ma piosenki zarówno polskie, jak i białoruskie. Na Litwie mieszka sporo Białorusinów, którzy uciekli przed reżimem. Oni również uczestniczą w naszych imprezach. Generalnie jeśli chodzi o festiwal, to nie mamy problemu z zespołami. Koncert ma potrwać ponad dwie godziny, a już mamy 12–15 uczestników. Jeśli komuś nie uda się wystąpić na scenie, to wówczas zaśpiewają w kuluarach – zapowiada Alaksandr Adamkowicz.

Zdaniem białoruskiego działacza festiwal odwiedza średnio 100–150 widzów. Są to zarówno miejscowi Białorusini, jak i emigranci.

Prezes Towarzystwa Kultury Białoruskiej zaznacza, że celem jego organizacji jest przyciąganie na festiwal białoruskich emigrantów. – Wysyłamy do nich informację poprzez różne platformy internetowe. Dotychczas większość widzów stanowili jednak miejscowi Białorusini. Niestety, współpraca pomiędzy miejscowymi a emigrantami nie zawsze układa się pomyślnie. Trudno powiedzieć, jakie czynniki wpływają na taki stan – wyznaje działacz społeczny.



Folklor białoruski liczy blisko 1000 lat Fot. archiwum prywatne



Dzieńdoberek jak cukierek! Mam dla was niespodziankę słodką śmietankę! Monotonia męczy każdego i dlatego bardzo fajnie jest, kiedy dookoła nas lub z nami dzieje się coś nowego. Święta, które niebawem nadejdą, są ku temu dobrą okazją.

Jak to drzewiej bywało...

Dziady – zaduszki na Litwie

Zarówno nasi przodkowie, jak i ludzie innych kultur wielu rzeczy nie potrafili wytłumaczyć i wierzyli w duchy.

Na Litwie, Rusi i tzw. Kresach przygotowywano zmarłym uczty rytualne zwane dziadami. Wszyscy gromadzili się na cmentarzu. Najpierw po grobie toczyli jajka i oddawali żebrakom, dziadom prosiącym. Następnie zastawiali grób cały jedzeniem i zasiadali do poczęstunku, zaprosiwszy wpierw dusze zmarłych na tę ucztę. Potrawy musiały być w liczbie nieparzystej – trzy, pięć lub siedem. Wśród nich miód, bliny, twaróg, jaja, kiełbasa. Resztki zjadali dziady, a uczestnicy poczęstunku rozchodzili się po domach, przeprosiwszy umarłych za to, że jedzenie było może niezbyt obfite.

Na Litwie w Zaduszki gospodynie gotowały tylko te potrawy, które lubili zmarli, i zapraszali dusze słowami: „Dziady, dziady, przychodźcie tu wieczór spożywać i nas przeżegnać”.

Te ludowe zwyczaje zanikły pod wpływem wiary chrześcijańskiej. Na wschodnich kresach Polski obecnie tylko ludność wiejska gdzieś obchodzi „dziady”. Dzisiaj nie usiłuje się „karcić” dusz swoich krewnych – potrawy przygotowywane ongi dla zmarłych dają się ubogim.



Ptaki, które przylatują do nas na zimę



Całkiem spora grupa ptaków czuje się z naszą zimą dobrze i ani myśli stąd odlatywać. Są przygotowane do spędzenia z nami tej pory roku. Dla nich lęgowiska i zimowiska to te same tereny, to gatunki osiadłe. To m.in.: wróble, mazurki, sierpówki, kowaliki, płomykówka i puszczyk, część sikor, kawek, gawronów, sójek, dzwońców, czyży i inne. Na niezamarzających wodach miast i miasteczek pozostaje część łabędzi niemych i krzyżówek.

Niektórym gatunkom nasz klimat na tyle odpowiada, że przylatują z północno-wschodniej Europy i z Syberii spędzić zimę u nas. Są to nie tylko: kawki, gawrony, sójki, gile, czyże, dzwońce, orzechówki, grubodzioby czy też bogatki, dołączające do „naszych” ptaków. To także łabędzie krzykliwe i bernikle kanadyjskie. Przylatują także gatunki obserwowane u nas tylko zimą – myszołów włochaty, jer, śnieguła czy jemioluszek.

Świąteczko dla nieobecnych

Stara legenda głosi, że w noc pomiędzy dniem Wszystkich Świętych a Zaduszkami blask zapalonych na grobach zniczy wskazuje właściwą drogę zagubionym i nieszczęśliwym duszom, błakającym się pomiędzy niebem a ziemią. Zapadający z wolna jesienny zmrok, rozświetlany blaskiem palących się zniczy, zaciera granice między światem tych, co odeszli i tych, którzy ciągle o nich pamiętają. Dzień 1 listopada jest jednym z najważniejszych świąt katolickich. Uroczystość Wszystkich Świętych według



nauczania Kościoła Katolickiego i wbrew ogólnie przyjętym stereotypom jest dniem radosnym. Cieszymy się bowiem z tego, że dusze naszych bliskich dostały łaski spotkania z Bogiem w niebie. Warto tego dnia poświęcić trochę czasu na refleksję o naszych zmarłych przodkach. Ale nie tylko. Naszej pamięci zasługują wszyscy ci, którzy przez swoje czyny w przeszłości kształtowali naszą dzisiejszą teraźniejszość: żołnierze, artyści, naukowcy, wielcy przywódcy czy lekarze. Jeżeli podczas naszej tegorocznej wizyty na cmentarzach napotkamy jeden z takich grobów, nie zawahajmy się zapalić symbolicznego znicza. Myślę, że jesteśmy choć tyle dłużni tym ludziom.

Zagadka optyczna

Dynia jest bardzo dobrym warzywem dla naszego zdrowia. Jednak czy uda ci się rozpoznać, która z przedstawionych na obrazku dyń nie pasuje do reszty? Rozwiąż naszą zagadkę optyczną!



Czy wiecie, że...

Odwiedzanie grobów jest zwyczajem znanym niemal wszystkim ludom, przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Chrześcijaństwo podjęło tę tradycję i nadało jej wymiar religijny.



Czy naprawdę nie lubimy Halloween?

Święto to, przypadające na 31 października, jest bardzo popularne w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Ale związane z nim zwyczaje znane są również w wielu innych częściach świata, także na Litwie. Chodzi o wspólne elementy: świece, nietoperze, psikusy, duchy.

Historia. Halloween wywodzi się od celtyckiego obyczaju All Hallows' Eve – w wigilię 1 listopada palono ogniska dla dusz zmarłych. W połowie XIX w. przywędrowało wraz z irlandzkimi emigrantami do Ameryki i tam zmieniło nazwę na Halloween. W drugiej połowie XX w. święto trafiło znowu do Europy. W Irlandii za czasów pogańskich ludzie przebrani w kolorowe kostiumy odprowadzali duchy do granic miasta. Niezamożni proponowali bogatym interes, który polegał na tym, że mieli odprawiać modły za dusze zmarłych w zamian za chleb. Dzisiaj tradycja ta uległa przekształceniu, a jej symbolem jest dawanie słodczy dzieciom chodzącym od domu do domu. Wydrążona dynia ze światełkiem w środku dla irlandzkich chłopców oznaczała błędne ogniki uważane za dusze zmarłych.

Nie lubimy Halloween? To nie do końca tak. Jest to pewne zjawisko kulturowe. Zabawy w straszenie nie są groźne, chociaż nie dla wszystkich przyjemne. Ale... od czasu do czasu fajnie jest zamienić dom w prawdziwy zamek, w którym straszy! Wyśmienitą okazją ku temu jest Halloween – pełen zjaw, duchów i nietoperzy.

Symbole. Nieodłącznym symbolem tego święta jest wydrążona dynia z otworami najczęściej w kształcie twarzy ze świecą w środku.

Zabawy i wróżby. Z Halloween związane jest wiele zabaw. Najpopularniejszą jest łapanie jabłek – zębami należy wyłowić pływające w wannie lub basenie jabłka. Inną popularną zabawą jest zjadanie bez pomocy rąk wiszących na nitkach ciastek i owoców.





Rozmowy o śmierci uczą dzieci życia, uczą, że każdy moment jest cenny, że warto mówić „kocham” i „dziękuję” Fot. Adobe Stock

Jak rozmawiać z dziećmi o śmierci?

Anna Pawłowicz-Janczyz

Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki to moment, w którym wielu z nas zatrzymuje się na cmentarzu, zapala znicz, wspomina bliskich. Dla dorosłych to czas refleksji, ale dla dzieci często czas pierwszych trudnych pytań...

„Dlaczego dziadek już nie przyjdzie?”, „Czy ja też kiedyś umrę?”, „A ty, mamo, też umrzesz?” – to trudne pytania, które potrafią ścisnąć gardło. Wielu rodziców wtedy ucieka w półsłówka: „Dziadek zasnął na zawsze”, „Jest w niebie”. Robią to w dobrej wierze, by chronić dziecko. Ale dziecko nie potrzebuje ochrony przed prawdą, tylko przed samotnością wobec niej.

Dzieci widzą i czują więcej, niż nam się wydaje

Psychologowie podkreślają, że dziecko dostrzega emocje dorosłych, na-

wet jeśli nie rozumie sytuacji w pełni. Jeśli mama płacze, a tata mówi: „Nic się nie stało”, w dziecku rodzi się niepokój: „Skoro nic się nie stało, dlaczego mama płacze?”. W ten sposób uczymy je, że o trudnych sprawach się milczy. A przecież to właśnie wtedy dziecko najbardziej potrzebuje rozmowy i bezpiecznej obecności.

Rozmowa o śmierci nie musi być poważnym wykładem. Może zacząć się od prostego pytania zadawanego podczas zapalania zniczy: „Pamiętasz, jak babcia piekła pierniki? Dzisiaj wspominamy ją, bo jej już z nami nie ma, ale wciąż ją

kochamy”. To prosty, prawdziwy komunikat, który pozwala dziecku zrozumieć: śmierć oznacza, że ciało przestaje żyć, ale miłość zostaje.

Małe dzieci (2–6 lat) często nie rozumieją pojęcia nieodwracalności. Dla nich śmierć jest czymś tymczasowym, jak sen. Dlatego mogą pytać, kiedy dziadek wróci z nieba albo czy można do niego zadzwonić. Warto wtedy tłumaczyć spokojnie i konkretnie: „Dziadek umarł. To znaczy, że jego ciało już nie oddycha i nie może wrócić. Ale możemy o nim opowiadać, oglądać jego zdjęcia i pamiętać dobre chwile”. »

Dzieci w wieku szkolnym (7–12 lat) zaczynają rozumieć śmierć jako coś trwałego, ale często się jej boją. Wtedy potrzebują nie tylko wyjaśnień, lecz także zapewnienia: „Rozumiem, że się boisz. Ja też czasem się boję, ale teraz jesteśmy razem i jesteś bezpieczny”. Dzieci w tym wieku bardzo uważnie obserwują, jak dorośli przeżywają stratę, to od nas uczą się, że smutek jest naturalną częścią życia.

Nastolatki z kolei często reagują złością, buntem albo pozorną obojętnością. Czasem nie chcą rozmawiać wprost. Wtedy wystarczy dać sygnał: „Kiedy będziesz chciał pogadać, to jestem tu”. I dotrzymać słowa. Nawet milczenie przy wspólnym zapalaniu znicza może być rozmową bez słów.

Nie bójmy się emocji

Rodzice często pytają: „Czy mogę płakać przy dziecku?”. Tak. Płacz nie jest słabością, to naturalna reakcja na stratę. Jeśli dziecko widzi, że dorośli przeżywa smutek i jednocześnie nadal funkcjonuje, uczy się, że trudne emocje można wyrażać i że one mijają. Można powiedzieć: „Jest mi bardzo smutno, bo tęsknię za babcią. Ale dobrze, że możemy o niej porozmawiać”. Taka szczerość buduje w dziecku zaufanie do świata.

„Zasnął”, „wyjechał”, „Bóg go zabrał”, takie określenia mogą wprowadzać w błąd. Dziecko może potem bać się zasypiać albo odczuwać złość do Boga. Lepiej mówić jasno: „Umarł, to znaczy, że jego serce już nie bije, ciało nie żyje. Ale wspomnienia i miłość wciąż są z nami”. Dla dziecka ważniejszy od samego słowa jest ton: spokojny, ciepły, pewny.

Nie chodzi o brutalną dosłowność, ale o autentyczność. Dzieci czują fałsz i nieufność pojawia się szybciej niż zrozumienie. Proste zdania, mówione z czułością, są najbezpieczniejsze.

Dzieci lepiej radzą sobie ze stratą, kiedy mogą w niej uczestniczyć. Jeśli chcą i czują się bezpiecznie,

mogą iść na pogrzeb, zapalić znicz, narysować laurkę, posadzić kwiaty dla babci. Dla nich to konkretne gesty, które pomagają zrozumieć i pożegnać. Wspólne rytuały pokazują, że choć życie się kończy, pamięć trwa.

Warto tworzyć własne, rodzinne rytuały pamięci: wspólne oglądanie zdjęć, opowiadanie historii. Takie małe gesty uczą, że miłość nie znika, gdy ktoś odchodzi.

Jeśli dziecko nie chce rozmawiać

Nie zmuszajmy. Czasem dzieci potrzebują czasu, by same mogły nazwać to, co czują. W pierwszym momencie mogą odwracać wzrok,

Rozmowa o śmierci nie musi być poważnym wykładem. Może zacząć się od prostego pytania zadawanego podczas zapalania zniczy: „Pamiętasz, jak babcia piekła pierniki? Dzisiaj wspominamy ją, bo jej już z nami nie ma, ale wciąż ją kochamy”. To prosty, prawdziwy komunikat, który pozwala dziecku zrozumieć: śmierć oznacza, że ciało przestaje żyć, ale miłość zostaje.

zmieniać temat albo wydawać się obojętne. To nie znaczy, że nie przeżywają. Raczej jeszcze nie wiedzą, jak o tym mówić. Ważne, by wiedziały, że rozmowa jest możliwa, a dorośli jest gotów, kiedy one będą gotowe. Można zostawić otwarte zdanie: „Wiem, że ci trudno o tym mówić. Jeśli kiedyś będziesz chciał porozmawiać, jestem tu”. Dziecko wróci, kiedy poczuje gotowość.

Warto też pamiętać, że dzieci często „mówią” przez zachowanie, nie przez słowa. Czasem zaczynają bawić się w pogrzeb, rysują anioły, cienie, domy w chmurach i to jest ich sposób radzenia sobie. Nie trzeba wtedy poprawiać, zabraniać czy odwracać uwagi. Lepiej zapytać spokojnie: „Widzę, że narysowałeś dziadka. Chcesz mi o tym opowiedzieć?”. Jeśli dziecko powie „nie”, po prostu usiądźmy obok. Samo to, że dorośli akceptuje emocje bez

próby ich naprawiania, daje dziecku poczucie bezpieczeństwa.

A co z wiarą i duchowością?

Śmierć dotyka nie tylko emocji, ale też sensu życia. Dlatego dzieci pytają: „Gdzie teraz jest babcia?”, „Czy widzi nas z nieba?”, „Dlaczego Bóg zabiera ludzi?”. Dorośli często się tego boją, bo nie mają gotowych odpowiedzi. Tymczasem dziecko nie potrzebuje wykładu, ono chce wiedzieć, że świat mimo straty wciąż ma sens.

Jeśli w rodzinie obecna jest wiara, warto się nią dzielić, ale bez straszenia i dogmatów. Dla dziecka wiara powinna być źródłem nadziei, nie lęku. Można powiedzieć: „Wierzmy, że babcia jest w niebie

i czuwa nad nami. Już jej nie widzimy, ale wciąż jest w naszych sercach”. Taki przekaz daje dziecku poczucie ciągłości, że miłość trwa, choć zmienia formę.

Warto też dodać: „Nie wszyscy wierzą tak samo. Jedni myślą, że dusza idzie do nieba, inni – że człowiek zostaje w sercach bliskich. Ważne, że pamiętamy i kochamy”. Taka otwartość uczy tole-

rancji i pomaga dziecku samodzielnie budować własne rozumienie duchowości.

Duchowość, niezależnie od formy, daje dzieciom to, co w żałobie najważniejsze: poczucie sensu, nadziei i więzi, której nie przerywa nawet śmierć.

Rozmowy o śmierci uczą dzieci życia, uczą, że każdy moment jest cenny, że warto mówić „kocham” i „dziękuję”. Dzieci, które mogły rozmawiać o śmierci, lepiej radzą sobie z emocjami, są bardziej empatyczne wobec innych. To paradoks, ale rozmowa o końcu życia często prowadzi do głębszego docenienia samego życia.

Warto pamiętać: dzieci nie oczekują od rodziców, że będą znać wszystkie odpowiedzi. Oczekują, że będą blisko. Milczenie, objęcie, wspólne zapalenie znicza to też rozmowa. I może być tą najważniejszą. ■

Jesień na słodko

Elżbieta Monkiewicz (@elzbieta.mon na Instagramie)

Kiedy jesienne wiatry zaczynają nieść żółknące liście, a wieczory stają się dłuższe, kuchnia staje się najprzytulniejszym zakątkiem domu. Ciepło piekarnika, cynamon i imbir, najsmaczniejszy zapach świeżych wypieków – wszystko to przypomina nam, że jedzenie może być nie tylko smakiem, lecz także sposobem na powrót do siebie.



Piure z dyni nadaje wypiekom puszystość, wilgoć i ciepły, bursztynowy odcień **Fot. Adobe Stock**

Kuchnia jesienna jest jedną z najbogatszych. Każdy składnik niesie ze sobą własną historię, kolor, zapach i znaczenie. Do wypieków jesiennych tradycyjnie wykorzystuje się sezonowe owoce i warzywa (jabłka, dynię, gruszki, śliwki), rozgrzewające przyprawy (cynamon, imbir, gałkę muszkatołową), orzechy, miód i intensywne, wyraziste w smaku składniki, takie jak masło i brązowy

cukier. Jabłka dają świeżość, gruszki – elegancję, dynie – lekkość, marchewki – delikatność, buraki – głębię, a ziemniaki – domowy spokój. W wypiekach jesiennych dominują bogate, głębokie i rozgrzewające nuty. W przeciwieństwie do wypieków letnich, które są lekkie i owocowe, jesienne wypieki skupiają się na gęstych teksturach, bogatych aromatach i żywych

kolorach: złotym, brązowym i bursztynowym. Głównym celem jest komfort i ciepło. To ciasta, muffinki i bułeczki, które najlepiej smakują z gorącą herbatą lub grzanym winem. Często stosuje się długie pieczenie – powolne pieczenie, karmelizację i gotowanie na wolnym ogniu, a zatem smak staje się wielowarstwowy: słodczy przeplata się z przyprawami, a tekstura jest wzmocnio-

na chrupkością orzechów lub miękkością dyni.

Jesienne składniki

Jabłka. Są prawdopodobnie najpopularniejszym składnikiem jesiennych wypieków. Zapewniają wilgoć, naturalną słodycz i delikatną kwasowość. Jabłka nadają się zarówno do ciast, jak i bułek czy kruszondek. Karmelizowane jabłka dodają głębi, »

a w połączeniu z cynamonem – zapach, który znamy od dzieciństwa. Wypieki jabłkowe symbolizują prostotę i ciepło, to wyjątkowe uczucie, gdy cały dom wypełnia się aromatem jesieni.

Gruszki. W wypiekach to subtelność i równowaga. Są miękkie, soczyste, ale zachowują kształt, dzięki czemu idealnie nadają się do ciast, tart, bułek czy babeczek. Dzięki łagodnej słodczy gruszki dobrze komponują się z przyprawami, które podkreślają ich naturalną elegancję:

- z imbirem i kardamonem – powstaje orzeźwiająjące, wręcz aromaterapeutyczne połączenie;
- z migdałami i wanilią – delikatny, deserowy klasyk;
- z czekoladą lub karmelem – wyrazisty kontrast, w którym gruszki stają się partnerami o bogatym smaku.

Dynia. Piure z dyni nadaje wypiekom puszystość, wilgoć i ciepły, bursztynowy odcień. Jego słodczy jest naturalna, łagodna, dlatego dobrze komponuje się z imbirem, gałką muszkatołową

lub cynamonem. Chleb lub ciasto dyniowe jest nie tylko pyszne, ale i pożywne – dynia jest bogata w beta-karoten, który wzmacnia odporność i skórę.

Marchew. Ciasta i babeczki marchewkowe to delikatny uśmiech jesieni. Są puszyste, aromatyczne, a marchew zapewnia naturalną słodczy i nawilżenie. Cynamon, gałka muszkatołowa czy skórka pomarańczowa tworzą aromatyczną harmonię, którą chce się powtarzać w każdy weekend. Dodatek skórki pomarańczowej – może być starta świeża lub kandyzowana – doda niepowtarzalnego uroku ciastu marchewkowemu.

Buraki. Prawdziwy jesienny skarb, który coraz częściej odkrywa się w cukiernictwie. Pieczone i rozgniecione buraki nadają wypiekom bordowy odcień, delikatną słodczy i aksamitną konsystencję. Oprócz walorów estetycznych, buraki wzbogacają wypieki w żelazo, magnez i przeciwutleniacze. To składnik, który nadaje deserom głębię smaku. Buraki dobrze komponują się z kakao, czekoladą, pomarańczą czy orzechami włoskimi:

- z kakao i gorzką czekoladą – intensywne, ale nie za słodkie ciasto;
- z miodem i imbirem – ciepły, kojący smak;
- z sokiem z cytryny – kolor pozostaje jaśniejszy, a smak – świeższy.

Ziemniaki. W wypiekach – nieoczekiwany, ale zaskakująco udany pomysł. Gotowane i piure ziemniaczane nadają ciastu puszystość, kremowość i wilgotność. Zwłaszcza wygrywa drożdżowe. Dodatek gotowanego stłuczonego ziemniaka czyni je bardziej mię-

Sernik dyniowy z orzechami

Składniki na spód: 100 g pierniczków lub ciastek typu digestive • 50 g orzechów (pekany, laskowe, włoskie) • 100 g roztopionego masła

Masa serowa: 600 g serka Philadelphia • 5 jajek • 120 g cukru • 200 ml piure z dyni • 80 g mąki kukurydziej • 100 g białej czekolady

Polewa: 50 g orzechów (pekan, laskowych, włoskich) • 50 ml syropu klonowego

Rozgrzej piekarnik do 150°C. Przygotuj formę o średnicy 24 cm. Pokrusz ciasteczka i orzechy, wymieszaj je z masłem i uzyskaną masą wyłóż dno formy, tworząc podstawę sernika.

Rozpuść białą czekoladę w kąpieli wodnej i wymieszaj z piure z dyni. Wymieszaj ser z cukrem, ubijaj, dodając po jednym jajku, a następnie wlej czekoladę z piure z dyni. Wymieszaj i na koniec dodaj przesianą skrobię. Wylej masę serową na okruchy w foremce, wyrównaj powierzchnię. Wstaw do piekarnika i piecz przez około godzinę. Ostudź sernik w piekarniku, a następnie wyjmij z piekarnika. Wyjmij z foremki dopiero po całkowitym ostygnięciu. Najlepiej piec to ciasto wieczorem.

Wlej złoty lub klonowy syrop do małego rondelka, zagotuj, dodaj orzechy. Podgrzewaj, aż syrop zgęstnieje. Wyjmij orzechy na folię aluminiową i odstaw na bok. Kiedy ostygnie – udekoruj ciasto karmelizowanymi orzechami.

kim i dłużej zachowującym świeżość, ponieważ skrobia ziemniaczana zatrzymuje wilgoć. Ciasta drożdżowe można zagniatć na wywarze z ziemniaków lub wodzie pozostałej po ich gotowaniu.

Jednym z najważniejszych składników wypieków jesiennych są przyprawy:

- cynamon – miękki i przytulny, główny akord jesieni;
- imbir – nadaje pikanterii i ciepła, pobudza zmysły;
- gałka muszkatołowa, kardamon, goździki – bogate i głęboko aromatyczne, nadają wypiekom świąteczny charakter;
- wanilia – równoważy przyprawy, nadaje miękkości;
- miód, brązowy cukier – źródła naturalnej słodczy, które wzmacniają smak i aromat;
- melasa – ciemny, bogaty składnik, który dobrze

komponuje się z wypiekami z buraków, dyni lub ziemniaków.

Małe jesienne sekrety

- Użyj brązowego cukru, melasy lub miodu – nadadzą głęboki smak.
- Wymieszaj piure jabłkowe, dyniowe lub buraczane z ciastem – to naturalny sposób na zatrzymanie wilgoci.
- Dodaj szczyptę soli – wydobędzie słodczy.
- Nie zapomnij o czaisie – jesienne wypieki uwielbiają spokojne, powolne pieczenie. Kiedy liście spadają za oknem, a w kuchni pachnie cynamonem i masłem, uświadamiasz sobie, że jesień niekoniecznie jest zimna. Może być ciepła – w piekarniku, na stole i w naszych sercach. ■

Kuchnia jesienna jest jedną z najbogatszych. Każdy składnik niesie ze sobą własną historię, kolor, zapach i znaczenie. Do wypieków jesiennych tradycyjnie wykorzystuje się sezonowe owoce i warzywa.

Zamiana ról na Kaukazie

Antoni Rybczyński

Jeszcze kilka lat temu nikt sobie tego nie wyobrażał. Gruzja z Armenią zamieniły się rolami. Wieloletni prymus dążący na Zachód zmienia się w kaukaską Białoruś, zaś odwieczny sojusznik Moskwy składa wnioszek o przyjęcie do Unii Europejskiej i z Kremlm jest na (przysłowiowe) noże. Dużo się dzieje na Kaukazie Południowym.



W Gruzji kurczy się przestrzeń dla społeczeństwa obywatelskiego i dziennikarzy **Fot. Adobe Stock**

Rządząca Gruzją prorosyjska partia Gruzińskie Marzenie złożyła 28 października wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o delegalizację trzech głównych partii prozachodniej opozycji. Kilka dni wcześniej ujawniono, że nowa rafineria naftowa w Gruzji, która niedawno przyjęła ładunek rosyjskiej ropy, należy do rodziny powiązanej z GRU. Mniej więcej w tym samym czasie Niemcy deportowali do Gruzji 12 członków rodziny zabitego w 2019 r. w Berlinie byłego czeczeńskiego dowódcy polowego Zelimchana Changoszwilego. W Gruzji ich życie i zdrowie są zagrożone.

Nie przypadkiem Changoszwili uciekł przed laty z tego kraju i szukał azylu w Niemczech. Ten weteran wojen w Czeczenii pomagał później służbom gruzińskim walczyć z rosyjską agenturą. Gdy Micheil Saakaszwili stracił władzę, Changoszwili utracił ochronę. Przy nowej prorosyjskiej władzy Gruzińskiego Marzenia doszło do prób zamachu na jego życie. Dlatego uciekł do Niemiec.

Nie uzyskał azylu, a zabił go nasłany agent FSB (złapany i skazany na dożywocie; w sierpniu 2024 r. wrócił do Rosji w ramach słynnej wymiany). Jego rodzinie w Gruzji obecnie grozi niebezpieczeństwo.

Bezpiecznie mogą się za to czuć irańskie firmy. Jest ich w Gruzji zarejestrowanych prawie 13 tys.! Firmy sojusznika Rosji wykorzystują Gruzję jako punkt tranzytowy w celu ominięcia międzynarodowych sankcji, a niektóre z nich są powiązane z irańskimi siłami zbrojnymi. Kraj, przed laty uchodzący za najbardziej prozachodni na Kaukazie, znalazł się dziś już de facto w rosyjskiej strefie wpływów.

Gruziński koszmar, czyli kaukaska Białoruś

Wzięli władzę w 2012 r. pod szyldem Gruzińskie Marzenie. Szyldu nie zmienili, ale kadry i politykę radykalnie. Choć można tego było oczekiwać, skoro właścicielem partii »

od początku jest Bidzina Iwaniszwili, najbogatszy Gruzin, co majątek zrobił w Rosji (Gazprom). Partia stopniowo przesuwiała się z pozycji prozachodnich na prorosyjskie. Jednak ostatnio niszczy wręcz demokrację w Gruzji, zbliżając się ku standardom białoruskim. Wystarczy wspomnieć trzy wydarzenia z jednego tylko dnia.

16 października gruzińskie MSW nałożyło na Elinę Valtonen, przewodniczącą OBWE oraz fińską minister spraw zagranicznych, grzywnę za „blokowanie drogi” w Tbilisi. Do incydentu doszło, gdy Valtonen udała się na aleję Rustaweli i rozmawiała z antyrządowymi demonstrantami.

Nałożenie grzywny na ministra spraw zagranicznych innego państwa to bezprecedensowy przypadek, który przejdzie do historii nie tylko stosunków Gruzji z Finlandią lub Europą, ale także historii dyplomacji. Tego samego dnia parlament przyjął nową ustawę, która pozwala na zakazanie działalności partii politycznych uznanych za niekonstytucyjne, a także osób „związanych” z tymi partiami.

To oznacza stworzenie czarnej listy osób, które zostaną trwale pozbawione możliwości sprawowania funkcji publicznych i nie będą już mogły kandydować w wyborach. To nic innego jak droga do stworzenia w Gruzji państwa jednopartyjnego. Nawet jeśli formalnie będzie funkcjonować jakaś partia lub dwie, w ramach koncesjonowanej opozycji – jak w Rosji.

Wreszcie, 16 października, parlament przyjął poprawki do kodeksu wykroczeń administracyjnych i karnych, ograniczające formy protestów. Zamiast grzywny, niektóre działania – np. blokowanie ulic w ramach protestu lub noszenie maski w celu ukrycia twarzy – będą podlegały karze 15 dni aresztu administracyjnego. Powtarzanie takich działań będzie klasyfikowane jako przestępstwo, które może skutkować karą pozbawienia wolności na okres od jednego do dwóch lat.

– W Gruzji jeden więzień polityczny przypada na mniejszą liczbę mieszkańców niż w Rosji – powiedziała przewodnicząca OBWE Elina Valtonen, składając sprawozdanie z podróży do Tbilisi na forum w Luksemburgu, na które Gruzja celowo nie została zaproszona.

Stany Zjednoczone podpisały z Armenią kartę partnerstwa strategicznego. Erywań stara się działać ostrożnie, aby nie sprowokować otwartej wojny gospodarczej lub politycznej z Moskwą.

Szefowa unijnej dyplomacji Kaja Kallas oświadczyła, że w Gruzji kurczy się przestrzeń dla społeczeństwa obywatelskiego i dziennikarzy. Gruzja ma status kraju kandydującego do Unii, ale według Kallas przy takich działaniach nie może stać się członkiem UE. W połowie listopada Komisja Europejska przedstawi raport w sprawie zawieszenia ruchu bezwizowego, po czym wejdzie w życie nowy mechanizm, który uprości tę procedurę: nowe zasady nie będą wymagały zgody wszystkich krajów UE, a Bruksela będzie mogła znosić ruch bezwizowy w każdym kraju, do którego ma zastrzeżenia pod względem rozwoju demokracji. Pozwoli to Brukseli nie tylko przestać martwić się o ewentualne weto ze strony Węgier – europejskiego sojusznika Gruzjińskiego Marzenia, ale także wprowadzać sankcje karne w sposób bardzo ukierunkowany, aby nie pozbawiać wizy bezwizowej zwykłych obywateli Gruzji.

Armenii rozwój z niewiernym małżonkiem

Trudno nie zauważyć, że Gruzja zamieniła się rolami z południowym sąsiadem. Armenia potwierdziła zamiar złożenia wniosku o członkostwo w Unii Europejskiej – to kolejny miły krok w wychodzeniu tego kraju z rosyjskiej orbity. Po klęsce w drugiej wojnie karabaskiej Armenia znalazła się w nowej rzeczywistości geopolitycznej. Jej dawny główny sojusznik – Moskwa – nie wywiązał się ze swoich zobowiązań i wycofał się z ochrony Armenii przed Azerbejdżanem.

To doświadczenie stało się punktem zwrotnym. Społeczeństwo armeńskie zareagowało zdecydowanie: według danych Międzynarodowego

Instytutu Republikańskiego 58 proc. obywateli poparłoby przystąpienie do UE, podczas gdy pozytywne nastawienie do Rosji spadło do 35 proc., chociaż jeszcze pięć lat temu wskaźnik ten wynosił ponad 90 proc.

Premier Nikol Paszynian nazywa kurs europejski wyborem pokolenia. Jego rząd podjął serię konkretnych działań, w szczególności uchwalił ustawę o rozpoczęciu procesu członkostwa, zainicjował negocjacje w sprawie liberalizacji reżimu wizowego, rozszerzył program współpracy w ramach Umowy o kompleksowym i wzmocnionym partnerstwie (CEPA). Obecnie rząd ogłosił osiągnięcie ruchu bezwizowego jako najbliższy praktyczny cel.

Unia Europejska ze swojej strony rozpoczęła realizację planu stabilności i wzrostu, zainwestowała w projekty niezależności energetycznej i reformy administracji publicznej. Stany Zjednoczone podpisały z Armenią kartę partnerstwa strategicznego.

Erywań stara się działać ostrożnie, aby nie sprowokować otwartej wojny gospodarczej lub politycznej z Moskwą. Gospodarka Armenii jest nadal głęboko zintegrowana z rosyjską, ponad jedna trzecia eksportu trafia na rynek rosyjski, znaczna część dostaw energii jest kontrolowana przez rosyjskie firmy, a setki tysięcy Ormian pracuje w Rosji i wysyła pieniądze do domu.

Dla Paszyniana ruch w kierunku UE jest też instrumentem odbudowy wewnętrznej popularności. Pomaga temu też postęp w relacjach z sąsiednim Azerbejdżanem. 21 października przebywający z wizytą w Kazachstanie prezydent Ilham Alijew ogłosił, że Baku zniosło wszystkie ograniczenia na tranzyt towarów do Armenii.

Zapowiedział też, że tzw. korytarz zangezurski – biegnący przez Armenię szlak drogowy i kolejowy łączący zasadnicze terytorium Azerbejdżanu z eksklawą nachiczewską – może zostać otwarty do końca 2028 r. Przy okazji podkreślił rolę prezydenta Donalda Trumpa w normalizacji relacji azerbejdżańsko-armeńskich, a szczególnie w uzgodnieniach dotyczących korytarza (jego funkcjonowaniem ma zarządzać firma amerykańska). ■



Walentyna, Tadeusz i Czesław Litwinowiczowie Fot. materiały prasowe BM TV

Z „Wilią” w sercu, z „Wilią” w życiu

Rozmawiała Agnieszka Skinder

Rodzina Litwinowiczów – nazwisko, które od dziesięcioleci nierozzerwalnie wiąże się z zespołem „Wilia”. W rozmowie z Tadeuszem, Czesławem i Walentyną Litwinowiczami wracamy do lat 60. i 70., kiedy taniec, muzyka i wspólne próby tworzyły świat pełen entuzjazmu, przyjaźni i młodzieńczej pasji. Śp. Ryszard, najstarszy z trzech braci, był jednym z najbardziej zaangażowanych członków „Wilii” – jego energia i oddanie do dziś pozostają w pamięci wileńskiej sceny.

Agnieszka Skinder: Proszę opowiedzieć o Waszym udziale w zespole – kiedy tańczyliście, kiedy śpiewaliście?

Tadeusz Litwinowicz: Do zespołu przyszliśmy w 1968 r. razem z bratem Ryszardem. Kolega powiedział, że jest nabór – to pomyśleliśmy: „Idziemy!”. Przyszliśmy, popatrzyli na nas, my na nich – i tak się zaczęło. Przyjęto nas bardzo serdecznie, wesoła, życzliwa kompania. Powiedziano, jak mamy wyglądać, jaki ma być

strój, jakie obuwie. Byliśmy młodzi, wysportowani, więc wszystko przychodziło z łatwością. Ale to, co najbardziej nas pociągnęło, to muzyka i piosenki – one były bliskie naszej duszy. Zakochaliśmy się w zespole od pierwszych dni. I tak już zostało.

Pan zakochał się w zespole, ale – jak się później okazało – również w pani Walentynie?

Tadeusz (z uśmiechem): Tak, tak... to przyszło trochę później.

Pani Walentyno, jak to było w Pani przypadku? Jak trafiła Pani do „Wilii”?

Walentyna Litwinowicz: Byliśmy kiedyś z rodzicami w Połędzie i zobaczyliśmy tam zespół – myśleliśmy, że są z Polski, a okazało się, że to właśnie „Wilia”, która odpoczywała na kempingu w Połędzie. Kiedy wróciliśmy do Wilna, moja koleżanka z klasy, Antonina Szafranowicz, powiedziała: „Słuchaj, jest taki zespół »Wilia«, słyszałam o nim. Chodźmy!”. No to poszliśmy. To był rok 1970. Pan Turowski >>

przesłuchał nas – mnie przyjął do altów, a Antoninę do sopranów. I tak to się zaczęło.

A Pana historia związana z „Wilią” jak się rozpoczęła, Panie Czesławie?

Czesław Litwinowicz: Moi bracia przyszli do zespołu pierwsi. Ja nie opuściłem żadnego ich koncertu – zawsze byłem na widowni. Patrzyłem na występy, na dziewczyny, na zabawę, na atmosferę. Wszystko mnie tam pociągało – praca, śpiew, taniec, przyjaźnie. I tak się wciągnąłem, że w 1971 r. sam dołączyłem do zespołu.

Jakie macie wspomnienia z tamtego czasu? Jaka wówczas była „Wilia”?

Tadeusz: To były niesamowite lata. Pamiętam dokładnie, że w 1969 r. zostaliśmy zaproszeni do Polski na Światowe Święto Polonii. Przygotowywaliśmy się do tego wydarzenia bardzo poważnie – codziennie, z ogromnym zaangażowaniem. Każdy dawał z siebie wszystko. Potem odbył się koncert galowy. Przyjechała komisja z Moskwy, obejrzała nasz występ – naprawdę piękny, dopracowany, pełen energii. Czekaliśmy na decyzję. I przyszła – odmowna. Powiedziano, że nasz wyjazd nie dojdzie do skutku. Dla wszystkich był to ogromny zawód. W ramach rekompensaty klub zorganizował nam wyjazd do Połagi – autokarem, całą grupą. I właśnie tam była też Walentyna.

Pojechało nas około siedemdziesiąt osób. Zamieszkaliśmy na kempingu. Każdego wieczoru odbywały się koncerty, tańce, śpiewy – ludzie zbierali się, słuchali, bawili razem. Dla mnie to był pierwszy wyjazd nad morze, pierwszy raz, gdy zobaczyłem morze na własne oczy. To było coś niezwykłego – towarzystwo, piosenka, morze, przyjaźnie. Człowiek czuł się częścią czegoś większego. „Wilia” stała się dla mnie wtedy jak rodzina – może nawet bliższa niż ta własna, bo w rodzinie różnie bywa, a w zespole zawsze była wspólnota, szczerość, wsparcie.

Nigdy nie pytaliśmy, „co z tego będę miał?”. Niektórzy koledzy z klasy dziwili się: „Po co tam chodzisz? Co z tego masz?”. A ja zawsze odpowiadałem: „To jest uczta duchowa”. Tam było wszystko – radość, pasja, ludzie. Nie potrzeba

było żadnych innych klubów, spotkań czy rozrywek – mieliśmy swoje próby, koncerty, wyjazdy. Byliśmy w Daugavpils, w Tartu, w Tallinnie, w Mejszagole, w Solecznikach – wszędzie, gdzie tylko można było występować. I nigdzie nie było smutno.

Podobno w Daugavpils narodziła się miłość między Panem a Panią Walentyną?

Walentyna: Nie, wtedy on tylko „oko położył”. To było w autokarze. Jechaliśmy razem, a ja przysnęłam, oparta o szybę. Hanka Ranszysówna mówi: „Usiądź obok niej, bo dziewczyna głową o szybę bije!”. No i usiadł. I tak już został.

Panie Czesławie, a Pana wspomnienia te najbardziej jaskrawe z „Wili”? Pan był najmłodszy z braci...

Czesław: Ja podziwiam tamten czas. To był złoty okres. My, chłopcy z Porubanku, z rodziny robotniczej, trafiliśmy do świata ludzi wykształconych, kulturalnych, oddanych polskości – takich jak Marian Wojtkiewicz, Zdzisław Tuliszewski, Jan Skrobot i inni. Oni przyjęli nas, młodych chłopaków, jak swoich.

W „Wili” nauczyliśmy się nie tylko tańca, ale i życia – etykiety, szacunku do kobiet, odpowiedzialności. Partnerka była świętością – trzeba było jej pomóc, zaopiekować się, zanieść walizkę, przynieść strój. Dziewczyny z kolei dbały o koszule, prasowały, szykowały. To była prawdziwa wspólnota. Tak jak

brat powiedział – rodzina, a może nawet coś więcej.

Do zespołu przychodziło się z radością. Po próbach nie uciekało się do domu – zostawaliśmy razem, rozmawialiśmy, odpoczywaliśmy. Pracowaliśmy naprawdę ciężko, szczególnie przed wyjazdami czy konkursami. Zawsze chcieliśmy być najlepsi – rywalizowaliśmy ze „Šviesa”, z „Vaivą”, z litewskimi zespołami, żeby dorównać im poziomem. A że chłopców zawsze brakowało, to jeszcze więcej zależało od nas.

Tańczyliśmy z pasją, z sercem. Może nie byliśmy technicznie tak doskonali jak „Mazowsze”, ale dawaliśmy publiczności wszystko, co mieliśmy – naszą szczerość, naszą duszę. I widowie to czuli – oklaskiwali nas gorąco, z wdzięcznością.

Pani Walentyno, jakie Pani ma wspomnienia z tamtego okresu?

Walentyna: Bardzo ciepłe. Byłam w zespole około pięciu lat. Zrezygnowałam dopiero wtedy, gdy po ślubie zaszłam w ciążę. Ale nawet wtedy – z małym synkiem – jeszcze przychodziliśmy na próby.

Dla mnie „Wilia” też była jak rodzina. Moja mama nie była artystką, pochodziła z prostej rodziny, ale miała dobry głos i zawsze lubiła śpiewać. Zespół dał mi coś innego – świat muzyki, spotkań, przyjaźni. Wszyscy odnosili się do siebie z szacunkiem. Ja miałam wtedy tylko piętnaście lat, a przyjęto mnie jak równą dorosłą – nikt nie patrzył na mnie jak na dziecko. To było coś pięknego. ➤



Ryszard i Tadeusz Litwinowiczowie Fot. archiwum prywatne

Czy mieli Państwo swój ulubiony taniec?

Tadeusz: Teraz, z perspektywy czasu, najbardziej wzrusza mnie polonez. Kiedy widziałem, jak nasi wnukowie tańczyli poloneza na placu Katedralnym po ukończeniu szkoły – to było coś niezwykłego. Bo to nie tylko taniec, ale też ciągłość tradycji – naszej polskości, naszego wychowania. Trudno być obojętnym do tego tańca.

Powiedzcie proszę, jak „Wilii” wpisywała się w społeczność polską tamtego czasu?

Tadeusz: Wcześniej wypowiadali się nasi seniorzy – pan Jan Kuncewicz, Fred Szturmowicz. Oni wspominali, jak wszystko się zaczynało: jak zbierała się pierwsza grupa, a potem część członków wyjechała do Polski w ramach repatriacji. To byli ludzie najbardziej zasłużeni, którym zawdzięczamy początek.

My z kolei dorastaliśmy na Nowym Świecie. Ojciec w każdą niedzielę wystawiał nas trzech, jak żołnierzy i prowadził do kościoła. Niektórzy patrzyli na to z ironią – „Po co tam idziecie, Boga niet...” – ale ojciec się tym nie przejmował. Z czasem to wszystko zaczęło się zmieniać. Kiedy trafiliśmy do „Wilii” i zaczęliśmy uczestniczyć w Świętach Pieśni – poczuliśmy, że kultura naprawdę łączy ludzi. W wojsku służyliśmy razem z bratem Ryszardem, a z nami byli m.in. Vytautas Kernagis,

Vytautas Rumšas, Sigitas Račkys, Romualdas Ramanauskas – świetne towarzystwo, inteligentne, życzliwe. Z Litwinami i Rosjanami mieliśmy bardzo dobre relacje – czasem, paradoksalnie, z Polakami bywało trudniej.

Czesław: Dużym plusem było to, że „Wilii” mieściła się w Pałacu Związków Zawodowych – razem z zespołami litewskimi, żydowskimi i in. Wszyscy się znaliśmy, odwiedzaliśmy się na próbach, wspieraliśmy się. Nie było napięć narodowościowych – przeciwnie, panowała bardzo dobra atmosfera. Poza tym „Wilii” była wówczas jedynym dużym polskim zespołem. Dopiero później powstała „Wilenka”. Człowiek nie miał zresztą wielkiego wyboru – jeśli chciał robić coś po polsku, rozwijać się artystycznie, to była właśnie „Wilii” albo teatry.

Zespół stał się źródłem, z którego wypłynęło wiele innych „strumyków” – małych zespołów w różnych miejscowościach Wileńszczyzny. Dziś niemal każde miasteczko ma swój własny zespół, swoje stroje, swoje pieśni. To wszystko wyrosło z „Wilii”.

Tadeusz: I z tego możemy być dumni. To „Wilii” jest matką tych wszystkich strumieni – naszych kontynuatorów. Nie bez powodu hymn zespołu mówi o tym.

Czesław: Do dziś, kiedy słyszę, jak chór śpiewa tę pieśń „Wilija, naszych strumieni rodzica” – mam łzy w oczach. To jest prawdziwa piosenka wileńska, pełna ducha i historii.

A Wasze pokolenie – przyjaciele, koledzy, wspólne chwile?

Tadeusz: Niestety, wielu już z nami nie ma. Ale wtedy, po próbach, zawsze coś się działo. W piątki, jeśli nie było żadnej imprezy, zbieraliśmy się u Mietka Kiesliakowa – ja, brat, Janek Kozłowski – i graliśmy w karty. Trochę winka, trochę śmiechu i do rana...

Czesław: Albo kopaliśmy piłkę – dziewczyny z chłopcami. Towarzystwo było fantastyczne – wszyscy blisko siebie, bez zawiści, bez podziałów.

Tadeusz: A jak przyjeżdżało „Mazowsze” albo „Śląsk”, to potrafiliśmy się bawić przez całą noc! Zawsze było coś – występ, wyjazd, spotkanie.

Czesław: Nas pociągala nie tylko praca taneczna, ale właśnie te nasze wieczorki. Nie było ważne, ile kto ma – wystarczyły dwie butelki wina i trzydzieści osób. Potrafiliśmy bawić się, śpiewać, tańczyć i żartować przez dziesięć godzin bez przerwy. Chodziliśmy do siebie w odwiedziny – od jednego do drugiego, zawsze razem. To było coś wyjątkowego, czego dziś już nie ma.

Jeśli między nami rodziły się jakieś sympatie, to zawsze były czyste, szczere, platoniczne. Jak brat z Wala – to już była prawdziwa miłość, a nie przelotna przygoda. Żadnych podchodów, żadnego uwodzenia.

Czym jest dla Was „Wilii” dziś, z perspektywy tylu lat?

Czesław: Jak w tej piosence: „Tych lat nie odda nikt”. To był czas cudowny, magiczny. Nic bym w nim nie zmienił. To była bajka – nasza młodość, nasza pasja.

Tadeusz: Podpisuję się pod każdym słowem. Najpiękniejsza była szczerość. W zespole nie było nikogo, kto przychodziłby z interesem. Każdy dawał coś z siebie – z radości, z potrzeby serca.

Czesław: W Połędze była otwarta sala taneczna – grała ludowa muzyka. Na początku kazali nam płacić za wejście. Ale potem, kiedy zobaczyli, co robimy na parkiecie – jak tańczy „stara gwardia Wilii” – zaczęli wpuszczać nas za darmo. Bo kiedy my tańczyliśmy polki, oberki, kujawiaki, oni dobrze zarabiali, bo przychodzili widzowie. To była najlepsza reklama dla ich zabaw! »



W środku – Walentyna i Tadeusz Litwinowiczowie Fot. archiwum prywatne



Pokolenie „Wilii” lat 70. i 80. Fot. archiwum prywatne

Pani Walentyno, a czym „Wilia” jest dziś dla Pani?

Walentyna: Dla mnie „Wilia” to rodzina. To miłość do piosenki, która została ze mną do dziś. Wciąż pamiętam dawne pieśni i śpiewam je z weteranami. Do weteranów chodzę z wielką przyjemnością. Długo namawiałam męża, ale mówił: „Jeszcze za młody jestem!”. A jak poszedł raz, to już został i bardzo mu się spodobało. Tam nikt nikogo nie skrzywdzi, nie obrazi.

Co zawdzięczacie „Wilii”?

Czesław: Dała nam coś, co najcenniejsze – duchowy bagaż, świadomość, kim jesteśmy. „Kim ty jesteś? – Polak mały...” – ten wiersz brzmiał w naszych głowach od młodości. To w „Wilii” nauczyliśmy się dumy z polskości, kultury, języka.

Dziś swoje nazwisko piszę po polsku, wszystkie dokumenty przerobi-

Czesław Litwinowicz:
„Wilia” dała nam coś, co najcenniejsze – duchowy bagaż, świadomość, kim jesteśmy. „Kim ty jesteś? – Polak mały...” – ten wiersz brzmiał w naszych głowach od młodości. To w „Wilii” nauczyliśmy się dumy z polskości, kultury, języka.

łem, jak była taka możliwość. Bo to dla mnie ważne. Chcę, żeby moje wnuki też to czuły. A zresztą – tańczą już w zespole „Sto Uśmiechów”. I to mnie cieszy najbardziej.

Tadeusz: A mnie „Wilia” dała żonę. Wokół było wiele dziewcząt, uśmiechniętych, pięknych, ale kiedy ona na mnie spojrzała – to prosto w serce. I Pan Bóg pobłogosławił.

Walentyna: Mamy dwoje dzieci – syna i córkę. Syn również zaczął w „Wilence”, a córka tańczyła tam przez kilka lat. Córka, Aneta Litwinowicz, brała też udział w konkursach piosenki polskiej, śpiewała, zajmowała wysokie miejsca.

Tadeusz: Syn Dariusz uczył się grać na akordeonie, a córka – na pianinie. Ale z chłopakami bywa różnie. Po roku nauki koledzy mu mówili: „Co ty tam grasz, muzyką się zajmujesz? Chodź, w piłkę gramy!”. No i zrezygnował z muzyki, a wybrał futbol. Córka miała talent i chęć, ale wtedy wyjechaliśmy do Polski, więc trudno było to pogodzić. Wróciliśmy – i dziś wspominamy te czasy z sentymentem.

Co dziś pomaga Wam żyć, co daje siłę na co dzień?

Czesław: Że zawsze miałem starszych braci, którzy mnie wspierali. Rodziców miałem złotych. I pamięć o nich mi pomaga. Kiedy jest ciężko – myślę o nich. To daje siłę. A poza tym – wspomnienia młodości, które ciągle są we mnie żywe. Sport też zawsze był ważny – mieliśmy w Ardenie

własną drużynę piłkarską i siatkarską, organizowaliśmy zawody. Ruch to zdrowie! A moją największą pasją są ryby – wędkarstwo to moje hobby i spokój ducha.

Tadeusz: A mnie pomaga żyć żona! Jak ugotuje coś smacznego – to od razu dzień lepszy. Jak zrobi dobrą kawę – to też przyjemnie. Zresztą zawsze żartujemy, że jestem od niej starszy o rok, więc mówię: „Nie przepychaj się w kolejce, kto pierwszy umrze!”.

Moją pasją od dziecka jest myślistwo. Zaczęło się w 1959 r., gdy często bywałem u dziadka. Wtedy zabrano mu ziemię i lasy, więc nie mógł już trzymać bydła – miał tylko kozy, które pasł po leśnych łąkach. Chodziłem z nim, a on pokazywał mi ptasie gniazda, ślady saren, tropy łosi. To wtedy zrodziła się we mnie miłość do przyrody. I dziś, kiedy jadę na polowanie, słyszę śpiew ptaków, szelest liści na wietrze – czuję się jak w sali koncertowej. Jakbym wracał na randkę ze swoją młodością.

Walentyna: A mnie siłę dają dzieci i wnuki. Mamy pięcioro wnucząt. To nasza największa radość. I oczywiście „Wilia” – spotkania z weteranami, koncerty, wspólne chwile.

Jak dziś postrzegacie „Wilie”?

Walentyna: Piękna, młoda, pełna energii. Z przyjemnością oglądamy koncerty – śpiewają, tańczą wspaniale, stroje są cudowne, głosy piękne. Za każdym razem, gdy tylko mamy okazję, przychodzimy.

Czesław: Teraźniejsza „Wilia” mnie zachwyca – szczególnie chórem, repertuarem i solistami. To wszystko na bardzo wysokim poziomie.

Tadeusz: A mnie, powiem szczerze, lezka się w oku kręci. Może trochę zazdroścę sceny, światła, młodości. Jak patrzę na nich, to widzę siebie sprzed lat. Dziś są profesjonalni, piękni, uśmiechnięci – jak aktorzy na scenie. A my wtedy byliśmy może mniej doskonali technicznie, ale za to żyliśmy na scenie. Tańczyliśmy z całego serca. Pieśń nas niosła.

Dziś, kiedy patrzę na młodzież, widzę kolejki chętnych, którzy chcą dołączyć do zespołu. To piękne – widzieć, że ta tradycja trwa. Piękne stroje, piękne uśmiechy, postawy. Tylko nas już tam nie ma...



Zdjęcie Stanisława Filiberta Fleury'ego: Żołnierz z koszem na targu przy ul. Pylimo, koniec XIX w. **Zbiory Gdańskie** Galerii Fotografii MNG, Muzeum Narodowe w Gdańsku

Zgiełk i światło jarmarków wileńskich. Z wizytą na wystawie w Gdańsku

Jarosław Tomczyk

Wileńskie jarmarki były czymś więcej niż cyklicznym miejscem handlu. Zatrzymane w kadrze chwile opowiadają o tradycji pełnej zapachów, smaków, kolorów i wielokulturowości wileńskich uliczek i placów. Na Targu Rakowym w Gdańsku można oglądać plenerową wystawę fotograficzną „Zgiełk i światło jarmarków wileńskich”.

– Na jarmarkach wileńskich było gęsto od ludzi, od towarów, od zwierząt, które ciągnęły wozy. Ten zgiełk chcieliśmy podkreślić w tytule, łącząc go ze światłem, elementem fotografii, które na Kaziukach odbija się w błocie czy śniegu, a na jarmarkach św. św. Piotra i Pawła praży sprzedających i kupujących promieniami słońca – mówi Maja Bieńkowska, kuratorka wystawy z Muzeum Narodowego w Gdańsku.

Gdańskie zbiory

Trwająca do 2 listopada wystawa „Zgiełk i światło jarmarków wileńskich” jest jednym z elementów programu tegorocznego festiwalu „Wilno w Gdańsku”, organizowanego przez Gdański Archipelag Kultury. – Od kilku lat współpracujemy z tą instytucją, wspólnie organizujemy wykłady i wystawy – tłumaczy Maja Bieńkowska. – W zbiorach Muzeum Narodowego

w Gdańsku mamy ponad 12 tys. obiektów fotograficznych. Jednym z kierunków tworzenia kolekcji były fotografie, albumy rodzinne ludzi, którzy przyjechali do Gdańska po wojnie z Litwy, Białorusi, Ukrainy. Gromadzimy je w Pracowni Fotografii Kresowej. Jest wśród nich bardzo dużo zdjęć międzywojennej Wileńszczyzny, a pośród nich wiele fotografii prezentujących Kaziuki czy jarmarki św. św. Piotra i Pawła. Właśnie je zdecydowaliśmy »

się zaprezentować szerszej publiczności na tegorocznym festiwalu.

W Wilnie jarmarki odbywały się corocznie z okazji święta patronów różnych parafii: św. Kazimierza, św. Jerzego, św. Jana oraz św. św. Piotra i Pawła. Początkowo trwały jeden dzień i były zlokalizowane wokół kościołów. Z upływem czasu rozrastały się na okoliczne uliczki, a świętowanie trwało kilka dni, stając się wydarzeniem o wyjątkowej randze społecznej. Jarmarki były okazją do zakupów od lokalnych rzemieślników, rolników i twórców ludowych. Pomędzy straganami przewijali się sprzedawcy, kupujący, dzieci, a nawet zwierzęta, tworząc barwny i gwarny krajobraz miejskiego święta.

Pierwszy odbywający się po zimie jarmark kaziukowy słynął z wyrobów z drewna, wikliny, towarów garncarskich, tkactwa, obwarzanków i pierników, zwłaszcza w kształcie serc. Na jarmarku świętojańskim prym wiodły rośliny – kwiaty doniczkowe, ale też bulwy, kłącza, nasiona, sadzonki, krzewy i drzewka owocowe, jako że św. Jerzy był nie tylko patronem rycerzy i żołnierzy, lecz także rolników.

Podobnie było na jarmarku świętojańskim, na którym można było nabyć zioła, przyprawy, warzywa, nalewki lecznicze, ale też takie osobliwości jak zasuszone skóry żmij. Na jarmarku św. św. Piotra i Pawła dominowały płótno i tkaniny, wyroby rymarskie oraz akcesoria jeździeckie.

Miłość u Bułhaka

Wystawa prezentuje 24 fotografie ukazujące stragany, towary, dokonywanie transakcji, targowanie się. Większość jest z okresu międzywojnia, część z przełomu XIX i XX w. autorstwa Stanisława Filiberta Fleury'ego. – Na wystawie zdjęcia z naszych zbiorów postanowiliśmy uzupełnić zdjęciami Bolesławy i Edmunda Zdanowskich ze zbiorów Muzeum Etnograficznego im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu, które dysponuje ponad 500 fotografiami – kontynuuje kurator Bieńkowska.

Historia małżeństwa fotografów Bolesławy i Edmunda Zdanowskich jest niezwykle ciekawa. Bolesława uczyła się podstaw fotografii u rodziców, pracowała w ich zakładzie

fotograficznym w Lipawie. Postanowiła jednak rozwijać swoje umiejętności. Trafiła pod skrzydła samego Jana Bułhaka. U niego uczył się też Edmund Zdanowski, który był asystentem Bułhaka na Uniwersytecie Stefana Batorego. To w jego wileńskim zakładzie zrodziła się ich miłość.

– Tworzyli duet nie tylko romantyczny, lecz także fotograficzny – mówi Bieńkowska. – Razem fotografowali, często wspólnie podpisywali odbitki, choć przyglądając się im uważnie, potrafimy rozróżnić, kto z małżeńskiej pary faktycznie je wykonał. Bolesława specjalizowała się głównie w portretach studyjnych. Chętnie wykonywała zdjęcia dzieciom. Bardzo lubiła to robić ze względu na ich naturalność przed obiektywem. Miała dla nich wiele czułości. Edmund specjalizował się w fotografii reportażowej, chwycił ujęcia.

Wileńska znajomość

Zdanowscy mieli swój zakład fotograficzny w Wilnie. W 1945 r. zde-

cydowali się je opuścić, choć przyszło im to z wielkim trudem, wyjechali ostatnim transportem kolejowym do Gdyni. – Kochali swoje miasto, to było ich miejsce na Ziemi, co widać na fotografiach, bije z nich sentyment, wrażliwość na atmosferę Wilna – tłumaczy pani kurator. – Swoją działalność fotograficzną kontynuowali na Wybrzeżu. Byli jednymi z założycieli działającego do dziś Liceum Plastycznego w Gdyni-Orłowie, byli też współzałożycielami Gdańskiego Towarzystwa Fotograficznego, w 1948 r. zaczęli wydawać jego biuletyny.

Po śmierci Zdanowskich ich zdjęcia trafiły do Muzeum Etnograficznego w Toruniu. Jego założycielką była Marii Znamierowska-Prüfferowa, z którą Zdanowscy poznali się jeszcze w Wilnie. Ich córka postanowiła zdecydować się podarować zdjęcia – fotograficzną spuściznę rodziców – toruńskiemu muzeum właśnie w związku ze znajomością rodziców z jego założycielką. ■



Zdjęcie Włodzimierza Krukowskiego: Jarmark św. św. Piotra i Pawła, lata 30. XX w. Zbiory Gdańskiej Galerii Fotografii MNG, Muzeum Narodowe w Gdańsku

Przez upadek do nawrócenia. Twórca nowenny pompejańskiej kanonizowany przez Kościół

Brenda Mazur

Pompeje zachwycają starożytnymi ruinami, architekturą, rzeźbami i malowidłami. Można podziwiać stamtąd malowniczy wulkan Wezuwiusz, ale mało kto kojarzy z tym miastem Bartolo Longo. A to dzięki niemu powstała nowenna i słynne sanktuarium, a miasto z pierwotnie biednej wsi stało się Nowymi Pompejami, z ważnym, rozślawionym po świecie ośrodkiem religijnym.



Szczątki św. Bartolo Longo w sanktuarium Matki Bożej Różańcowej w Pompejach we Włoszech Fot. Adobe Stock

Bł. Bartolo (Bartłomieja) Longo podczas uroczystej mszy świętej, która została odprawiona 19 października na placu św. Piotra w Watykanie, wraz z sześcioma innymi błogosławionymi został przez papieża Leona XIV ogłoszony świętym i włączony w poczet świętych Kościoła katolickiego.

Ostatnio podczas niedzielного nabożeństwa w naszym wileńskim sanktuarium Miłosierdzia Bożego tę postać przybliżył wiernym ks. Waldemar Serwiński. Zaciekał biografią tego wyjątkowego człowieka, który wszystko, co osiągnął, zawdzięczał różańcowi, idąc jednak wyboistą drogą – jako kapłan szatana, spirytysta, błądzący w piekielnych czeluściach. Ks. Waldemar w podsumowaniu powiedział, że droga bł. Bartolo Longo do świętości to materiał na ekscytujący thriller.

Zachęcona i zaciekawiona postacią sięgnęłam po książkę autorstwa Marka Wosia „Bartolo Longo. Od kapłana szatana do apostoła różańca”.

Droga ku zatraceniu

Już na samym początku warto wspomnieć, że Bartolo wychowywał się w licznej i nieprzeciętnej rodzinie, w której przykładem świecił dziadek Angelo Longo. Dziadka szanowano, ale nie był to jeden z tych serdecznych dziaduniów, do którego lgną wnuki. Był on burmistrzem rodzinnego Latio, który swoim domownikom okazywał urzędniczą surowość oraz władczość. Miał siedem córek i tylko jednego syna Bartolomeo, którego wykształcił na miejscowego lekarza i wyswatał ze stosowną panną, jednak małżeństwo nie trwało długo, gdyż małżonka zmarła bezpotomnie.

Niedługo potem Bartolomeo ożenił się ponownie z 16-letnią, bardzo pobożną córką sędziego Antonią Luparelli, która wydała na świat ich pięcioro dzieci. Drugim z kolei był „nasz” Bartolo, który przyszedł na świat 10 »

lutego 1841 r. i był oczkiem w głowie rodziców, gdyż był chorowity. W trosce o jego zdrowie, ale także o edukację wysłali oni sześciolatniego Bertolucia (jak go pieszczotliwie nazywali) do zakonnej szkoły w mieście Francavilla Fontana, gdzie edukował się przez 11 lat, aż w 1857 r. otrzymał tytuł magistra i zaczął pracować jako nauczyciel w szkole podstawowej, kontynuując również naukę na uniwersytecie w pobliskim miasteczku, Brindisi. Jednak praca z dziećmi nie sprawiała mu żadnej przyjemności, a wszczepiona za młodu religijność wydawała mu się nieciekawa, dlatego też chciał zrezygnować z pracy, studiów i marzył, aby pożegnać małe nudne miasteczko i przenieść się do wielkiego Neapolu.

Rodzina była zaniepokojona, tym bardziej że zaprzyjaźniony z nią wysoce postawiony pułkownik, który mieszkał w tym mieście, przestrzegał przed tym miastem, mówiąc: „Neapol to Neapol – tu diabeł tańczy swój diabelski taniec”. Pod presją rodziców Bartolo podjął więc naukę w prywatnym uniwersytecie w Lecce. Jednak los splotał im figła, gdyż wkrótce uniwersytet został rozwiązany i młody student, tak czy inaczej, znalazł się w Neapolu, aby dokończyć studia. Było to w 1863 r. Groźba pułkownika miała się spełnić. Bartola porwał diabelski taniec tego miejsca i czasu.

Wolnomyślicielski Neapol

Najpierw w wir życia wciągnęły go salonne rauty, tańce i swawole, którym oddawała się ówczesna elita. Miasto urzekło – Neapol to również koncerty, teatry, wieczorki poetyckie i romanse, od których nie stronili neapolitańscy studenci. Jak się okazało, liczne rozrywki i salonne życie jednak szły w parze z codzienną nauką. Ta interesowała przyszłego świętego, na co wpływ mieli profesorowie, wśród których nie brakowało jawnogrzeszników, apostatów i heretyków. Urzeczony ich wykładami Bartolo zaczął zdradzać objawy podobne ich chorobie duszy. Przejawiała się ona w nienawiści skierowanej przeciw wierze objawionej przez Jezusa Chrystusa, przeciw kapłanom, a nawet przeciw społecznym dzielom, nad którymi pieczę sprawował Kościół.

Zasiane w duszy ziarno zwątpienia wykiełkowało i zaczęło się szybko krzewić. Bartolo wsłuchiwał się w płomienne przemówienia profesorów, w których Kościół jawił się jako wylęgarnia zła. Wyśmiewano sakramenty, papieży i kapłanów, szczególnie dominikanów. Zły przykład dawali niestety niektórzy duchowni – sam miał w sąsiedztwie takiego księdza, który, co prawda, odprawiał msze, ale nie przestrzegał celibatu i żądał daleko posuniętej demokratyzacji Kościoła, twierdząc, że jest niepotrzebny do zbawienia.

Żyjąc w świecie pomieszanych pojęć, Bartolo sam włączył się w antykościelny ruch i stał się jednym z agitatorów antyklerykalizmu. Dał się przekonać pogładowi o irracjonalności wiary i zwątpił w istnienie Boga. A Jezusa nie postrzegał jako Boga, ale jako człowieka, dość niezwykłego i przez to zapamiętanego przez historię, ale tylko człowieka. Zło się panoszyło i wytoczyło wszystkie działa przeciwko pocziwemu w głębi serca Bartolo.

Sidla złego

Połowa XIX w. to trudny czas dla kościoła i księstw włoskich. Nie dość, że Włochów nie oszczędzały polityczne rozgrywki, doszło do konfliktu z namiestnikiem Chrystusa. W 1870 r. Watykan został włączony do królestwa Włoch pod rządami króla Wiktora

Emanuela II. Trwało to dziesiątki lat, dopiero w 1929 r. traktaty laterańskie zagwarantowały istnienie niezależnego państwa watykańskiego. Równocześnie z zaostrzeniem antykościelnych nastrojów na uniwersytetach zaczęły dominować poglądy zwane postępowymi. Dążono do wyrugowania z instytucji państwowych wszelkich oznak pobożności chrześcijańskiej.

Ta atmosfera udzielała się studentom uniwersytetów i prostym ludziom. Chciano zniszczyć Kościół i wygnać papieża, kapłanom zabronić posług. Znakiem czasu było to, że wiele pierwszoplanowych postaci tego niesformalizowanego ruchu antykościelnego stało się wyznawcami nowej religii, która za sprawą masonerii zaczęła się rozpowszechniać po świecie. Religii, która miała swoje „święte” księgi, reguły, nabożeństwa i medium. Seanse spirytystyczne były tak rozpowszechnione w XIX-wiecznym Neapolu, że w niektórych domach przeprowadzano je każdego wieczora. Podczas nich wypytywano duchy z zaświatów o wielkie i małe sekrety niematerialnej rzeczywistości.

W tych spirytystycznych audycjach brał także udział Bartolo Longo. Jego interesowały jednak donioslejsze sprawy – bóstwa Jezusa i piekła. Mimo niewiary w Boga Bartolo wierzył w jakąś formę życia pozagrobowego, seanse spirytystyczne według niego dawały najlepszą okazję ku temu, aby samodzielnie zbadać tajemnice »



Bazylika w Pompejach to najważniejsze sanktuarium różańcowe na świecie. Jej proboszczem zostaje każdy kolejny papież **Fot. Adobe Stock**

duchowe. Dusze zza grobu wydawały się wiarygodne.

Gdzie grzech, tam i łaska

Bartolo został wciągnięty w sidła okultyzmu, jasnowidztwa, czarnych obrzędów, zostając wybranym kapłanem nowej religii. Jego pełne zaangażowanie wycieńczało ciało i duszę i w krótkim czasie sam wyglądał jak zjawa, był wychudzony długimi aktami ascezy. Życie przeciw Bogu prowadziło do depresji i paranoi, w nocy dręczyły go diabelskie wizje. Wszystko zmierzało do załamania nerwowego albo czegoś jeszcze gorszego.

W owym czasie w tym zdegenerowanym mieście zła było też wielu apostołów Dobrej Nowiny, zajmujących się chorymi, biednymi, ludźmi pozostawionymi samym sobie. I oni słyszeli o pograżonym w sekcje Longo. Bartolo miał szczęście zetknąć się z nimi w najbardziej dramatycznym momencie życia, a oni spokojnie i cierpliwie wlewali w jego serce spokój i przywracali wiarę.

Diametralna zmiana nastąpiła jednak w momencie, gdy we śnie usłyszał smutny głos swojego zmarłego ojca. Ojciec błagał syna, aby powrócił do Boga. Sen ten był bardzo realistyczny. Przestraszony Bartolo udał się do Vincenza Pepego, profesora, którego darzył głębokim szacunkiem, i opowiedział mu o swojej wizji. Po długiej rozmowie prof. Pepe przekonał młodego studenta, aby opuścił sektę, i faktycznie tak się stało. Pod jego wpływem przeszedł na chrześcijaństwo, a następnie podjął studia prawnicze ukończone doktoratem.

Drugim przełomem było spotkanie z dominikaninem o. Albertem Radente, który stał się jego spowiednikiem i przyjacielem. Zakonnik nie tylko go spowiadał, lecz także przyjął pod swoje skrzydła. Ojciec Radente uczył Bartolo podstaw teologii, modlił się za niego gorąco, aż w 1871 r. przyjął go do zakonu dominikanów (tercjarzy) i przepowiedział mu, że Bóg oczekuje od niego wielkich rzeczy. Pod wpływem tych słów złożył śluby czystości i z różańcem w dłoni zaangażował się w niesienie pomocy ubogim i chorym. Od tamtej pory nosił imię Brat Różaniec.

Bartolo Longo pracował w Pompejach do końca życia. Zmarł 5 października 1926 r. w wieku 85 lat, spędzając ostatnie godziny na modlitwie różańcowej. „Moim jedynym marzeniem jest zobaczyć Maryję, która mnie uratowała” – tak brzmiały ostatnie jego słowa.

Równocześnie zaczął odbywać pokutę. Odwiedzał swoich byłych znajomych z sekty i próbował ich nawracać. Mimo iż spotykał się z wyśmiewaniem i drwiną, nie zniechęcał się. W ich obecności, trzymając w dłoniach medalik Matki Bożej, wyrzekł się spirytyzmu.

Bartolo pomagał biednym i chorym. W Neapolu, na polecenie swojego duchowego kierownika, przyłączył się do osób prowadzących działalność charytatywną. Tam poznał nauczyciela matematyki i filozofii Ludovica z Casorii (ten przyszły święty poświęcił swoje życie wykupywaniu afrykańskich dzieci z niewoli). Bywał u Cateriny Volpicelli, założycielki Zgromadzenia Służebnic Najświętszego Serca, przyszłej świętej. W jej domu poznał swoją towarzyszkę życia i małżonkę, owdowiałą matkę pięcioro dzieci, hrabinę Mariannę de Fusco. Początkujący adwokat został administratorem dóbr hrabiny i prawnym opiekunem jej dzieci.

Misja w Pompejach

Pierwszy raz do Pompejów Longo udał się w sprawach majątkowych żony, hrabiny de Fusco. Podczas spaceru po okolicy wpadł w stan rezygnacji i przygnębienia. Pisał: „Pomimo pokuty wciąż gnębiła mnie myśl, że należę do szatana i nadal jestem jego niewolnikiem, a on oczekuje na mnie w piekle. Rozważając to, popadłem w rozpacz i byłem bliski samobójstwa. Wtedy usłyszałem w moim sercu echo słów ojca Alberta, powtarzającego za Maryją: »Ten, kto propaguje mój różaniec, będzie zbawiony«.

Te słowa oświeciły moją duszę”. Bartolo rozejrzał się po mieście i w głowie zabłysła mu myśl: „Tu zbuduję kościół”.

I tak się stało. Bartolo pozostał w Pompejach i oddał się budowie kościoła dla mieszkańców. Kościół, który w założeniu miał być niewielki, wyrósł na potężne sanktuarium Matki Bożej Różańcowej i stał się urodzajną glebą ewangelizacji. Oprócz tego założył czasopismo „Różaniec i Nowe Pompeje”, które do dziś się ukazuje. Napisał wiele nowenn, modlitewników, rozważań. Przede wszystkim jednak stworzył – przekazaną mu w objawieniu Matki Bożej – nowennę pompejańską i był pierwszą osobą, która doznała uzdrowienia po odprawieniu tego nabożeństwa. Dziś modlitwa ma miliony wiernych. Nowennę pompejańską odmawia się przez 54 dni, codziennie w jednej intencji.

Pamiętajmy, że to dzięki jego inicjatywie w 1883 r. papież Leon XIII ustanowił październik miesiącem szczególnej modlitwy różańcowej.

Bartolo Longo stał się prekursorem budownictwa socjalnego dla robotników i najuboższych. Zakładał ochronki, szkoły dla sierot i pozostawionym samym sobie dzieciom więźniów. Powołał Zgromadzenie Córek Różańca do prowadzenia sierocińców. Wokół bazyliki Matki Bożej Pompejańskiej rozbudował infrastrukturę miejską i naukową. Z małej wioski wyrosły Nowe Pompeje. Sam pracował z sierotami i dziećmi z tzw. trudnych rodzin, uczył ich modlitwy i rzemiosła. Mawiał: „Moim mistrzem w wychowaniu dzieci nie są sławni pedagodzy i ich szkoły, lecz sam Chrystus”.

W 1894 r. bazylika w Pompejach została uznana za najważniejsze sanktuarium różańcowe na świecie. Odtąd jej proboszczem zostaje każdy kolejny papież.

Bartolo Longo pracował w Pompejach do końca życia. Zmarł 5 października 1926 r. w wieku 85 lat, spędzając ostatnie godziny na modlitwie różańcowej. „Moim jedynym marzeniem jest zobaczyć Maryję, która mnie uratowała” – tak brzmiały ostatnie jego słowa.

26 października 1980 r. Jan Paweł II beatyfikował Bartolo Longo, nazywając go „wzorem dla współczesnych świeckich katolików”. Papież Leon XIV 19 października kanonizował Włocha. ■

Ułożył Roman Głowacki

[illegible]



Teatr im. Jerzego Cieniały wystawia
spektakl teatralny

TEST

(„El test”)

Z pozoru niewinna, towarzyska gra niesie za sobą poważne konsekwencje, gdy na stół zostają wyłożone realne pieniądze. Gdy każde z małżonków chce zdecydować się na inną opcję, rozpoczyna się małżeńska walka na argumenty, która niespodziewanie wymyka się spod kontroli...

8 LISTOPADA, GODZ. 16:00
CENTRUM KULTURY W RUDOMINIE
UL. VILNIAUS 2, RUDOMINO
WSTĘP WOLNY

